

36/n.146.

POEZYE

ADAMA MICKIEWICZA.

TOM PIĄTY.

Zachodźnik
6.9.46 A II B 11

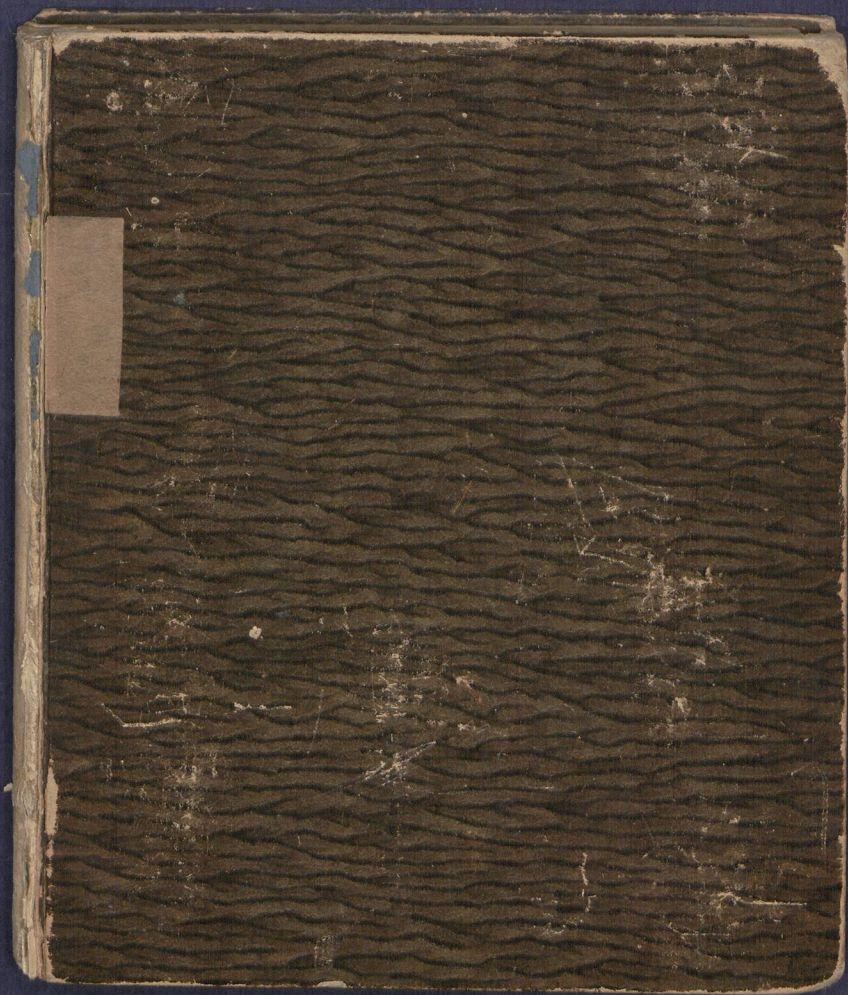


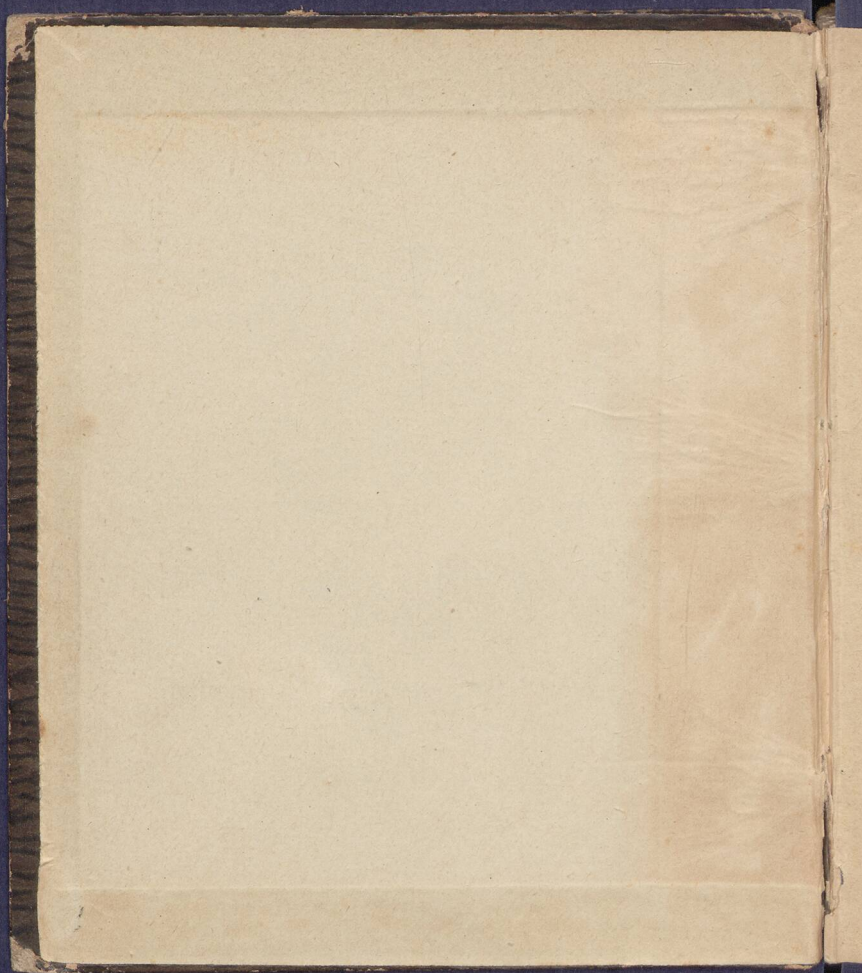
4204.

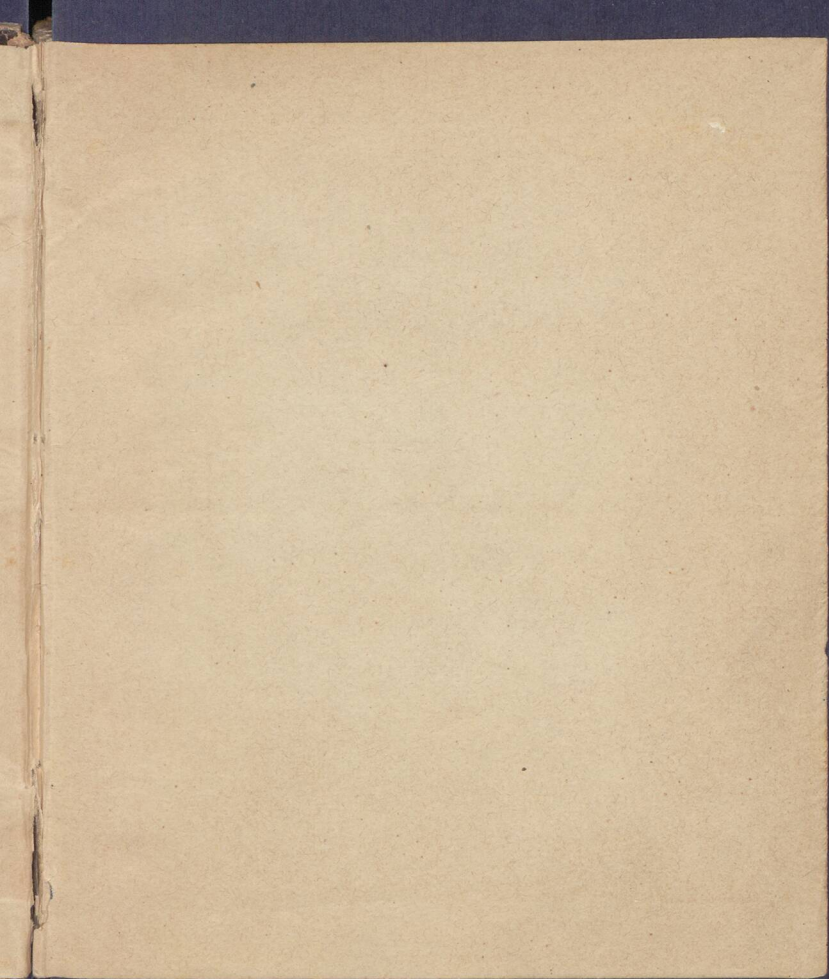


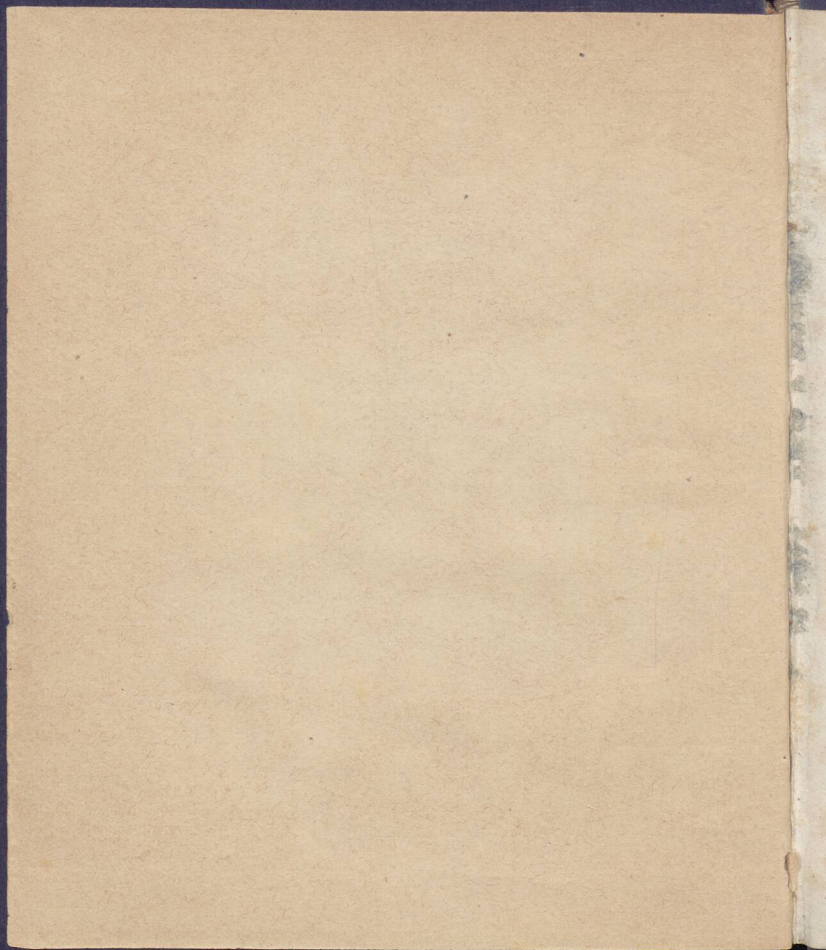
W POZNANIU, 1829.

(WŁASNOŚĆ AUTORA.)









36 | n. | 46.

POEZYE

ADAMA MICKIEWICZA.

TOM PIĄTY.

Złoty Rękopis
6.9.46 A II B 11



4204.



W POZNANIU, 1829.

(WŁASNOŚĆ AUTORA.)



1728475

W Drukarni POMPEJUSZA i Spółki.

BU UAM
09 K 467

SPIS RZECZY

ZNAJDUJĄCYCH SIĘ W TOMIE V.

	Stron.
PRZEDMOWA	I
1) Do S. B. w imionniku	1
2) CZATY	2
3) GODZINA, Elegia	6
4) NIEPEWNOŚĆ	10
5) FARYS, Kassyda	12
6) NA POKÓJ GRECKI	21
7) POPAS W UPICIE, zdarzenie prawdziwe.	24
8) SEN LORDA BYRONA	32
9) SZANFARY, Kassyda z Arabskiego	42
10) Do DOKTORA S.	53
11) UGOLINO, wyjątek z Boskiej komedyi.	57
12) CIEMNOŚĆ, z Byrona	63
13) PODRÓŻNY, z Getego. Wanderer.	67
14) MORLACH W WENECYI, z Serbskiego.	78
15) RENEGAT, Ballada Turecka	80
16) TRZECH BUDRYSÓW, Ballada Litew- ska	82
17) Do D. D.	85

	Stron.
18) ROZMOWA	86
19) Do D. D., Elegia	87
20) S PETRARKA	90
21) SEN	94

DO CZYTELNIKA

O KRYTYKACH I RECENZENTACH
WARSZAWSKICH.

*Krzyknęli: niepozwalam! uciekli na Pragę.
POWRÓT POSŁA.*

Poezye w niniejszém wydaniu zawarte, prawie wszystkie już dawniej publiczności znajome, przy piérwszém ich ogłoszeniu zwróciły uwagę recenzentów i stały się przedmiotem licznych nagan i pochwał. Czytałem z równém uczuciem jedne i drugie, i milczałem. Powody milczenia mojego łatwo odgadnie każdy, kto zna stan teraźniejszy krytyki literackiej w Polsce, i ma wyobrażenie o ludziach wdzierających się na urząd krytyków. Atoli kiedy powtarzam wydanie dzieł, tyle ra-

zy, tylu piórami rozbieranych, i te dzieła bez żadnych prawie odmian, puszcza na świat, w stanie rodzimój ich niedoskonałości, lękam się, aby czytelnicy moi nie myśleli, że przez zatwardziałość serca, właściwą autorom krytykowanym chorobę, uparłem się nie korzystać z uwag, co większa z uwag drukowanych w gazetach, i to jeszcze w Warszawie. Jeżeli grzeszył, niechcę wymawiać się w obliczu recenzentów niewiadomością: winienem téż przez grzeczność wyłożyć im powody uporczywego trwania w błędach: bo recenzenci, jakiegokolwiek jest ich zdanie, należą prawie zawsze do klasy ludzi czytającej książki, przynajmniej polskie, która to klasa w naszym kraju nieliczna, ma prawo niezaprzeczone do szczególnej autorskiej grzeczności.

Pierwszy, ile mi wiadomo, rozbiór poezyj moich, umieszczono przed laty sześciu w *Astrej* w piśmie peryodycznym warszawskiém. Redaktor, Franciszek Grzy-

mała, pochlebne dla poety wyrzekł zdanie: przyznaje mu *talent*, nie skąpi dlań wysmienitych przestróg o potrzebie pracowitości, o strzeżeniu się miłości własnej, o posłuszeństwie dla krytyki i t. p. Co się tyczy zalet i wad dzieła pod względem sztuki, Franciszek Grzymała, z powołania publicysta i statysta, nie śmie wdawać się w rozprawy literackie i niewiedząc sam, czy mu poezye moje podobać się mają lub nie? pyta się o to uczonych warszawskich, wyglądając od nich poważnej urzędowej recenzyi. Ukazywały się następnie krótkie ogłoszenia lub uwagi w innych pismach, aż nakoniec zjawił się wyglądany od Franciszka Grzymały krytyk w osobie Franciszka Salezego Dmochowskiego.

Redaktor Biblioteki polskiej, przyznaje również autorowi poezyj *talent* z równą hojnością udziela mu rad ogólnych moralno-literackich. Nieszczęściem z ogólnej uwagi trudno jest artyście korzystać.

Malarzowi np. wystawiającemu swój obraz pod krytykę, nie wiele usłużą goście, chociaż z miną znawców ciągle powtarzać będą, iż należy pracować, iż należy uczyć się rysunku, wydoskonalać koloryt i t. p. Były wszakże i szczegółowe zarzuty, oskarżano mnie głównie o psucie stylu polskiego, wprowadzeniem prowincjonalizmów i wyrazów obcych. Wyznaję, że nie tylko nie strzegę się prowincjonalizmów, ale może umyślnie ich używam. Prosiłbym zwrócić uwagę na różne rodzaje poezyi w dziełach moich zawarte, i każdego z nich styl podług innych sądzić prawideł.

W balladach, pieśniach, i w ogólności we wszelkich poezyach na gminném podaniu opartych, szczególny charakter miejscowy noszących, wielcy poeci starożytni i nowocześni używali i używają prowincjonalizmów, to jest wyrazów i wyrażeń od ogólnie przyjętego książkowego stylu różniących się. Ze pomnę dawne greckie dyalekty, dość rzucić okiem na dzieła

Burnsa, Herdera, Getego, Skota, Karpińskiego, Bogdana Zaleskiego. Nasz Trembecki, śmielszy od nich, w rodzaju dydaktycznym opisowym, najbardziej od poezyi gminnej oddalonym, użył wyrazów *chwost*, *socha* i t. p. zapewne nie przez nieznamość języka. Wszystko tu zależy od szczęśliwego użycia. Nie przeczę, iż mogłem albo zbyt, albo nie w miejscu, albo niestósownie prowincjonalizmy wprowadzać: o to mię obwiniać każdemu wolno: z tego usprawiedliwiać się nie mam prawa. Głęboka znajomość języka i smak wytrawionych znawców, wyrokuja o nowościach grammatycznych: wyroki te publiczność z czasem zatwierdza lub odrzuca. Sąd w podobnej sprawie jest daleko trudniejszy niżli się recenzentom zdaje. Tu, ażeby się ze zdaniem odezwać, trzeba powagi literackiej. Pan Ordyniec, teoretyk, mając za sobą dykcyonarz i grammatykę, podkreśla prowincjonalizmy lub nieszlachetne wyrażenia Trembeckiego; my pa-

raśnianie, w sporach, które smak tylko rozstrzyga, zdajemy się raczej na autora Zofijowki. Ogólny wyrok recenzentów przeciwko prowincjonalizmom jest wypadkiem metody, przejętej od starych gazeciarzy francuskich. Oni to, mając siebie za stróżów języka, co krok odwołują się do słownika Akademii. Rzeczywiście miło jest recenzentom i pewnym czytelnikom myśleć, że nabywszy słownik, mają w kieszeni trybunał, gotowy rozstrzygać najdelikatniejsze spory, tyczące się poetyckiego wyśłowienia.

Jeżeli o dawniejszych poezjach moich ogólne tylko wydano zdanie, za to Sonety, aż do najdrobniejszych szczegółów, aż do pojedynczych wyrazów i wyrażeń, a nawet wyrazowych form i zakończeń, grammatycznie, retorycznie i estetycznie rozbierane i sądzone były. Odczytałem dwadzieścia przeszło recenzyj, że pomnę satyry i parodye. Oto jest naprzód treść zdań ogólnych: Poezya polska (mówi p. M.

M.) dotąd ograniczała się do tłumaczeń i naśladowań francuskich; Mickiewicz pierwszy nadał jęj cechę narodowości, on stał się twórcą poezyi oryginalnej. — Poezya polska, odpowiada P. Fran: Sa- lezy Dmochowski, dotąd była narodową, postępowała ciągle ku doskonałości, a naj- wyższym jęj utworem, miazgą i treścią narodowości, miało być poema o ziemiań- stwie, od lat kilkunastu w Warszawie oczekiwane. Mickiewicz pierwszy tę cechę narodowości zdziera i niszczy, zasady sma- ku wstrząsa, styl kazi i literaturze pol- skięj powtórnym grozi upadkiem. — Cieszy- my się, woła lwowski wydawca moich Sonetów, że Mickiewicz zaniedbał balla- dy, które gmin sam najlepiej układa, a wprowadził do naszéj literatury rodzaj zu- pełnie nowy. Sonety dają mu niezaprze- czone prawo do nieśmiertelności. — Załuje- my, woła inny recenzent, że Mickiewicz, dotąd uprawiający poezyą narodową, balla- dy i powieści, zaniedbał je, i obrał sonety,

rodzaj literaturze naszój zupełnie obcy. — Forma sonetu, zdaniem dziesiątego recenzenta, jest swobodna, szlachetna i piękna: jedynastemu zdaje się być niewolniczą trudną i niewdzięczną: pietnasty gardzi sonetami, jako wymysłem wieków średnich barbarzyńskich: dwudziesty dowodzi, że Horacyusz nawet pisał coś nakształt sonetów.

W szczególnych uwagach też sama zdań rozmaitość. Zwrotki i wyrażenia, dziwiące jednych górnością i harmonią mowy, drugich gorszą pospolitością zdań i drapiacém uszy wierszowaniem. Tenże sam sonet jednych rozczula, dla drugich wesołej parodyi staje się przedmiotem, ci go nie rozumieją, tamci objaśniają długim komentarzem, inni pojmują autora, a u-skarżają się na ciemność wykładacza.

W takiej zdań różności zastanowił nas szczególnie jeden zarzut; powtórzyło go zgodnie wielu recenzentów a najobszerniej rozwodzi się nad nim Franciszek Salezy Dmochowski. Ten zarzut tyczy się uży-

cia wyrazów cudzoziemskich, oryentalnych. Redaktor biblioteki polskiej, zaczyna zwyczajem swoim od uwag ogólnych, sprawiedliwych, ale już przed ogłoszeniem recenzyi jego, nieco znajomych: np. że poezya wschodnia od europejskiej różna, bardzo różna: że poezyą wschodnią naśladować trudno, bardzo trudno. Kto nie zna taktyki recenzentów, lubiących o rzeczy niewiadomej rozprawiać ogólnemi zdaniem, które w literaturze zamiast znaku używają się, sądziłby, że P. Dmochowski jest wielkim oryentalistą. Niedługo wszakże, zostajemy w błędzie: widzimy zaraz, że tenże P. Dmochowski, nie tylko nazwisk właściwych gór i rzek nie wiedział, co dowodzi małą jeografii sąsiednich krajów znajomość, ale nie rozumiał wyrazów Allah, drogman, minaret, namaz, izan. Zdaje się nam, że nawet w Warszawie, gdzie literatura wschodnia mało liczy uczniów, taka niewiedomość recenzenta, dziwić musi publiczność. Przytoczone wyra-

zy arabskie lub perskie, tyle razy w dziełach Getego, Byrona, Mura, użyte i objaśnione były, że o nich czytelnikowi europejskiemu wstyd nie wiedzieć, tym bardziej wydawcy pism peryodycznych. W opisie poetyckim miast naszych, któż nie wspomniał o kościołach i wieżach: w opisie miasta wschodniego, jak pominąć minarety? Jak je wytłumaczyć po polsku, czyli mówiąc słowy recenzentów, jak je wytłumaczyć na język Sarbiewskich, Kochanowskich, Sniadeckich, Twardowskich *). Dał wprawdzie Franciszek Salezy Dmochowski dziwny przykład przełożenia obcych wyrażeń i wyrazów, kiedy w wierszach swoich mówiąc o Peleuszu ojcu Achillesa, nazywa go władzą *małego w Tessalii powiatu*, i tym spo-

*) Sarbiewski nie pisał po polsku: Sniadeccy nie pisali poezyj: a w dziełach Twardowskiego więcej cudzoziemskich wyrazów, niż we wszystkich sonetach.

sobem jednego z najpotężniejszych królów Grecyi bohaterskiej, robi naszym powiatowym marszałkiem. Ale ja takięj, właściwej poważnym klasykom nowości, jako poczynający pisarz romantyczny, użyć nie śmiałem.

Prowincjonalizmy i cudzoziemczyzna, tudzież niepoprawność wiersza, szczególnie przerażyły recenzentów. Stąd powszechna trwoga, abyśmy znowu nie wpadli w barbarzyństwo wieku literatury jezuickiej. Pozwalamy, wołają nakoniec recenzenci, naśladować pisarzy angielskich i niemieckich, co do swobody form, ale niechże pisarze nasi naśladowają ich styl czysty i poprawny. Byrona, Getego, Skotta, nikt nie obwiniał o skazienie mowy, odzywa się zgodnie z całym chórem, Salezy Dmochowski. Gdyby krytycy raczyli kiedykolwiek zajrzeć w dawne niemieckie i nowsze angielskie recenzye, przekonaliby się, że wszyscy od nich przywodzeni poeci, ulegali tymże sa-

mym zarzutom. Recenzye wspomniane już i na francuskie przetłómaczono. Obaczmy co mówi *Mercur du XIX siecle*: Les poètes anglais les plus renommés, parmi nous, Walter Scott, Southey, Moor, ne daignent pas corriger leurs vers; ils bravent non seulement les règles de la mesure, mais encore celles de la grammaire; ils font de la langue anglaise une véritable polyglotte, où sont admis les mots de tous les idiomes parlés. Byron jette au hasard ses inspirations sténographiées sur le papier sans daigner ensuite y rattacher son attention, mettant les négligences au rang des licences, système qui est sans doute celui du vrai poète: car c'est avec ce dédain, que chez nous, M. de Lamartine a modulé ses Méditations, que ses amis et M. Tastu son libraire sont obligés de revoir. (Journal de St. Pétersbourg 1828). Utyskiwania podobne nikogo dziwić nie powinny. Retorowie szkolarze, od czasów Dante aż do Lamartina, zawsze byli jednostajni w cha-

rakterach i zdaniach, zawsze, czytając poetów, z dobroduszném narzekali westchnieniem, że poeci mający talent, nie posiadali ich nauki. Krzyki retorycznych alarmistów wzmagają się peryodycznie w epoce wielkich odmian literackich. W Niemczech, w pierwszej połowie przeszłego wieku, literatura ledwie nie tak, jak u nas ubogą była. Gotszed, sławny podówczas grammatyk lipski, wierszopis gładki bez talentu, retor krótkiego wzroku i ciastnego pojęcia, uważał naśladowniczą szkołę poetów szląskich za klassyczną, wiersze zaś samego Gotszeda, miały być właśnie najwyższym utworem klassyczności i narodowości niemieckiej. W duchu jego szkoły, Lessyng, Klopszok, Gete, należeli do nieumiejętnych i zuchwałych nowatorów. Ta walka mniemań, utrzymała w pamięci imie Gotszeda, o którego dziełach już niesłychać. Teatrem podobnych sporów, była daleko dawniej Hiszpanija, kiedy szkoła wło-

ska wprowadziła do tego kraju nową poezją. Podobneż spory ukończyły się przed oczyma naszymi w Anglii, a dotąd toczą się we Francyi. Wróżby więc o bliskim upadku literatury i smaku w Polsce zdają się być bezzasadne, przynajmniej nie ze strony romantycznej zagraża niebezpieczeństwo. Dzieje literatury powszechnej przekonują, że upadek smaku i niedostatek talentów, pochodził wszędzie z jednej przyczyny, z zamknięcia się w pewnej liczbie prawideł myśli i zdań, po których wytrawieniu, w niedostatku nowych pokarmów, głód i śmierć następuje. Tak upadła literatura bizantyńska, dziedziczka najbogatsza pomników Grecyi; bo zarówno odgrodziwszy się od Franków i Arabów z postępem wieku, nowych form przyjąć niechciała. Podobne wycieńczenie w przeszłym wieku dotknęło francuską literaturę. U nas, za czasów jezuickich, zły smak rozszerzali właśnie ludzie najlepiej znający prawidła retoryki, właśnie profes-

sorowie retoryki i kaznodzieje. Powszechna ciemnota pochodziła nie z wprowadzenia obcych nauk, ale z ich pilnego strzeżenia się. Kiedy Konarski dowodził potrzebę języka francuskiego, uczniowie i stronnicy jezuitów oburzali się na tę nowość, równie jak dziś uczniowie i stronnicy szkoły warszawskiej na literaturę angielską i niemiecką.

Widzi czytelnik, że z pomiędzy licznych wad mnie wytkniętych, dwie tylko usprawiedliwić chciałem, to jest użycie prowincjonalizmów i obcych wyrazów. Zdania recenzentów o piękności, lub niedoręczności myśli moich, złym lub szczęśliwym wyborze form, o harmonii lub twardości wiersza, zostawiam bez odpowiedzi sądowi publiczności. Daleki od sceny zaburzeń literackich, nienależący do żadnej koteryi, czytam recenzje w lat kilka po ich ogłoszeniu; przytoczyłem je w tym jedynie celu, abym pokazał czytelnikom, że nie tak łatwo, jak się zdaje, dzieła

podług uwag gazeciarzy poprawiać. Chcieli
wprawdzie niektórzy recenzenci oszczędzić
pracy autorowi i podjęli się sami poprawiać
wyrazy, wyrażenia, a nawet całkowite
wiersze. Taka wspaniałość recen-
zentów, teraz w europejskiej peryodycznej
literaturze bezprzykładna, należy do cnót
starożytnych, w gazeciarstwie warszaw-
skim dziedzicznych. Niestety różnię
się w zdaniu z recenzentami co do po-
praw, przytaczam niektóre z nich zоста-
wując wolny wybór czytelnikowi. Pan
S. w sonecie „Ranek i Wieczór“ zamiast
*błysnęła w oknie: ukląłem, radzi pisać, sta-
nąłem jak wryty.* Pan Franciszek Salezy
Dmochowski: zamiast *ziemnych krawędzi,*
życzyłby widzieć: nadbrzeżne płaszczyzny,
albo piaszczyste płaszczyzny. Szkoda, że
w opisaney przezemnie ziemi nie było
płaszczyzn piaszczystych. Pan J. K. za-
miast: *a gdy serce spokojne zatapia w niem*
szpony, poprawia: *i gdy zmysły spokojne*
nurza w sercu szpony. Tę ostatnią popra-

wę powinienbym przyjąć; potrzebę jej usprawiedliwia dostatecznie recenzent na-przód tém: 1) „Ze hydra pamiętek czyli działalność duszy z obudzonych w niej przykrych wspomnień, zaczęła działalność jej względem własności czucia nieprzyjemna lecz przykra, jest w organizacyi życia naszego moralnego, to jest rzeczą niezaprzeczoną.“ Broń Boże, aby autor Sonetów zaprzeczył tak jasnej prawdzie, dowiedzionej w czterech równie jasnych kategoriach i w długiej rozprawie o hydrze pamiętek, co wszystko znajdzie czytelnik ciekawy w Gazecie Polskiej 1827 r.

Kończąc niniejszą przemowę, kiedy raz jeszcze rzuciłem okiem na wyżej przytoczone rozbiory i uwagi; ton stanowczy recenzentów warszawskich, głębokie ich przekonanie o swojej nauce i o ważności wszystkiego co wiedzą; powaga, jaką dotąd nad umysłami pewnych czytelników mają słowa: — jego pochwalono w gazecie, jego zganiono w gazecie, — bez wzglę-

du kto chwalił lub ganił, wszystko to pokazało mi całą różnicę między naszym unizonym stanem pisarzy prowincjonalnych, a poważną recenzentów warszawskich hierarchiją. Przypomniałem szczególnie, że mam niejakię prawo do przywilejów téj kapitule służących. Przed kilkunastu laty, gdy byłem studentem, drukowałem także w Pamiętniku warszawskim tchnącą klasycznością recenzją, przytaczałem obficie list do Pizonów i kurs Laharpa, co dotąd w onéj kapitule uchodzi za niepospolitą erudycyą i dostateczną na urząd krytyka kwalifikacyą. Ośmielałem się więc, zapominając na chwilę że zostałem tylko poetą, przybrać dawny charakter recenzenta i spółkollegom moim, przynajmniej za ogólne zdania i moralne przestrogi zapłacić podobną monetą, to jest ogólnemi uwagami i obrokiem duchownym. Poeta bez obszernéj, wielostronnéj nauki, jeśli nie utworzy arcydzieł piérwszéj wielkości, stanowiących w literaturze epo-

kę, może przecież w szczególnych pomniejszych rodzajach szczęśliwie sił doświadczać; jeśli nie pozyska europejskiej sławy, może w kraju swoim, w prowincyi swojej czytelników i wielbicieli znaleźć. Inaczej rzecz się ma z teoretykami: ci z powołania uczeni być muszą. Im więcej tworzy się dzieł sztuki i obszerniejsze w teoryi odkrywają się widoki, z tym większą usilnością talent swój krytyczny doskonalić powinni i zawsze w równi z wiekiem postępować. Im zawilśze stosunki towarzyskie, tym więcej praw i zwyczajów, tym uczeńsi muszą być prawnicy z powołania i sędziowie. Dziwną sprzecznością w literaturze naszej mieliśmy uczonych poetów i mówców, ale teoretycy nasi, zaczawszy od grammatyków aż do estetyków, żyli tylko kaskami prawideł wyniesionych ze szkoły, zresztą ciemni i pełni przesądów z niewiedomością połączonych. Historia literatury naszej ma tu niejakię z polityczną podobieństwo.

Mieliśmy dobrych żołnierzy, zacnych obywateli, ale, w ostatnich szczególnież czasach, wdzierali się do stanowienia praw i administrowania wojska, ludzie bez żadnej nauki i doświadczenia: w równie niedziwnym stanie było prawoznawstwo i administracya literacka. Już Mroziński gruntownie ocenił wysławionych w Warszawie grammatyków: retorowie oczekują jeszcze tej smutnej pogrzebowej posługi. W kilku przynajmniej słowach porównajmy ich z autorami. Trębecki na poetę był uczonym mężem, znał filologicznie starożytną literaturę, francuską zgłębił, ojczystą Zygmuntofską przeczytał i cenić umiał. Dzieła Krasickiego okazują różnstronne kształcenie się poetyckie na wzorach łacińskich, włoskich i francuskich. Niemcewicz w pierwszych zaraz pracach nie ograniczał się naśladownictwem, utworzył sam nowe formy historycznego dramatu, politycznej komedyi i histo-

rycznych śpiewów *), nie podług retoryki Dekoloniusza, ale stosownie do potrzeb czasu. Mowcy za Stanisława Augusta żyjący, politycznóm i cywilnem kształ-

*) Na początku szesnastego wieku a może i wcześniej, przedstawiano u nas dyalogi, misterye, to jest historye z pisma świętego i mitologii wyjęte. Była więc gotowa popularna forma dramatu. Gdyby wówczas który poeta z talentem wziął się za podobne przedmioty, wybrał z nich dramatyczniejsze, formę przedstawienia udoskonalił i styl uszlachetnił, utworzyłaby się może powoli sztuka dramatyczna narodowa, jaką szczytą się Hiszpanie i Anglicy. Jan Kochanowski, ukształcony we Włoszech, wzgardził widowiskiem tak niekształtném i drama podług wzoru greckiego napisał, dla narodu nieinteresujące, a przez zły wybór formy dla poezyi nawet niewdzięczne. Przecież Kochanowski ma tę wielką zaletę, że znając starożytność grecką lepijć niż późniejsi klassycy, starał się ją wiernie oddać. Grecy Kochanowskiego przypominają bohaterów Homera; Grecy naszych klassyków są istotami urojonemi. Zaden s krajowych krytyków nie zwrócił na to uwagi. Cieszono się tylko, że Odprawa posłów jest sztuką regularną. Przy odrodzeniu się nauk, w samjć tylko Warszawie kwitnęła literatura, a tam już nie czas było wskrzeszać dyalogi. Julian Niemcewicz, czy to

cenieniem się usiłowali wyrównywać obcym i ciągle iść z postępem wieku. Przeciwnie teoretycy z litością na mowców wołali: „*isti homines, me hercule, habent talen-*

gębokiém nad sztuką rozmyślaniem, czy instynktem właściwym talentowi, przeczuł potrzebę wieku i wpadł na szczęśliwą myśl wystawiania osób historycznych, zachowując im koloryt miejscowy i rysy epoki w której żyli, mowie nawet dla powiększenia illuzji starożytny Zygmuntowskiéj epoki nadał charakter. (Drama Kaziemiérz Wielki.) W podobnéj myśli, lubo znacznie przedtym, napisał Gete drama *Götz von Berlichingen* i sprawił epokę w literaturze. Teraz we Francyi sceny historyczne wróżą nowy dla Europy rodzaj dramatyczny, od formy greckiejj, Szekspirowskiejj i Kalderonowskiejj różny. Niemcewicz nie mógł ani tak szczęśliwie idei swojej rozwinąć, ani takich sprawić skutków, bo Getemu już Herder i Lessyng utorowali drogę, a do Francyi wpływ Niemców, podniesione historyczne nauki, wpływ romansów Walter Skota i ogromna liczba memoarów ułatwiły wstęp temu nowemu dramatycznemu rodzajowi. U nas teraz, nawet po pracach samego Niemcewicza, Czackiego, Lelewela, Bandtków, jeszcze wielka kompozycja historyczna, epopeja lub drama na długie czasy zostanie przedsięwzięciem nad siły poetów, kiedy jeszcze tak mało pomniejszych narodowéj poezyi

tum, sed non docti, rhetoricam non frequentaverunt, non illuminant orationem figuris, ubi est hypotyposis, aposiopesis, prosopopoeia, sustentatio, praetermissio?"

U późniejszych zostały się też same formy, też same prawidła, jakie w czasie upadku oświecenia w Polsce panowały. Uczeńsi przymieszali tylko nieco s francuskich elementarnych xiążek. Piramowicz, jeden z najuczeńszych, w czasie kiedy wysokie

rodzajów rozwiniono. O tych rodzajach niektórzy teoretycy i czytelnicy dotąd jeszcze dziwne mają wyobrażenie. Mysłą naprzykład, że miejsca pospolite, maxymy i morały, z równą emfazą od Greków, Rzymian, Turków i Amerykanów na teatrze francuskim deklamowane, potłómaczone na polskie gładkim wierszem, jeśli się zaczynają od słów: „Jakiż mię zapal porywa — Muzo wspieraj mój lot i t. p.“ robi się z tego narodowa oda, jeżeli zaś pokrajane w dyalog włożą się w usta Samborom, Jaxom, robi się narodowe drama, jeżeli na koniec wychodzą na świat w kształcie poematu noszącego tytuł na ada, zaczynającego się od „ja śpiewam“ z przydaniem potrzebnych allegoryj i tak nazwanych machin, tworzą wtenczas narodową epopeję.

o sztuce myśli Lessynga, Homa, Hotez-
sona, Borka, Smita, zajmowały Europę,
Piramowicz nie może wyrzeć za granicę
retoryki szkolnej; Xiądz Golański i Fran-
ciszek Dmochowski w prozaicznych
i wierszowanych teoriach, śmieją się so-
bie z Szekspira, *pewnego Angielczyka*, któ-
rego teatr, jak tego łatwo dowieść można,
ani w oryginale, ani w tłómaczeniu nie
był im znajomy: natrzęsają się z Kalde-
rona, *pewnego wierszopisa z zaśmieźnej Pi-
reny* i z Lopez de Vega, lubo ich dzieł
w oczy nawet nie widzieli. Zuchwałość
taka pochodzi z dotąd trwającego u nas
przesądu, że można nieznaną dzieła bez
krytyki na cudzą wiarę sądzić, naprzykład
Kalderona na wiarę Boala, a Szekspira
podług wyroków Woltera.

Nie małej trzeba odwagi, mówi uczony
Mroziński, ażeby się targnąć na gramma-
tyczną Kopczyńskiego powagę. Niemniej
trzeba męstwa, choć może nie tyle nauki,
ażeby Franciszka Dmochowskiego kryty-

czne usposobienie i działanie ocenić. Jest to patryarcha krytyków warszawskich i wzór ich szkoły. Jak niegdyś w Paryżu nazywano Laharpa Kwintylianiem francuskim, a w Warszawie Kopezyńskiego Lomondem (dla uczczenia), tak Dmochowski nazwany był Laharpem *), a w Wilnie Słowacki Dmochowskim. Dziedziczenie tytułów w linii prostej i kollateralnej było bardzo w modzie. Powstać przeciw Franciszka Dmochowskiego krytycyzmowi w Warszawie, jest to, że powiem słowami Byrona, rozprawiać w Konstantynopolu w meczecie Sofijskim o niedorzecznościach Alkoranu, spuszczać się na światło i tolerancją ulemów. Zapewna, jako tłumacz poezyj, Dmochowski nie małe położył w literaturze zasługi. Sięgał on

*) Zdania własne Laharpa o literaturze starożytniej, nigdy żadnej u uczonych nie miały powagi; zdania jego o literaturze francuskiej powierzchowne i częstokroć fałszywe wytykają sami Francuzi, mianowicie Wilmen.

jeszcze czasów Stanisława Augusta i właśnie charakteryzuje epokę przejścia z oryginalnej i silnej poezji do lęklivego, niewolniczego naśladownictwa. Talent tłumacza Iliady, lubo pozbawiony mocy oryginalnej, zachował pewną śmiałość i życie, przynajmniej w tłumaczeniach puszcza się na obszerne i wielkie przedsięwzięcia. Przy mierniej znajomości łaciny i literatury francuskiej, Dmochowski zwyczajem augustowskich pisarzy, znał jeszcze dawną ojczystą Zygmunrowską literaturę: chociaż do języka poetyckiego stosował więcej niż należało prawidła grammatyki francuskiej, niezupełnie jeszcze zaślepiony czuł i cenił śmiałość, bogactwo i różnorodność stylu Zygmunrowskiej epoki, dziwił się nowym Trębeckiego wyrażeniom i mimo małych uchybień, oddawał sprawiedliwość wielkim i liczным Karpińskiego zaletom. We własnych pismach pracą i usilnością doskonalił styl swój, zrazu niedbały, ciężki i twardy. Wielka jest pod tym

względem różnica między sztuką rymoworczą a przekładem Homera. W ostatnich zwłaszcza pieśniach Iliady, wiersze harmonijne, w wyrażeniach ściśle i lubo wszelkiej śmiałości poetyckiej pozbawione, nie zamieniają się w rymowaną prozę *). Tenże Dmochowski jako uczony, jako krytyk, niskie bardzo zajmuje w naszej nawet literaturze miejsce, a śmiałość która go w poetycznych pracach do wyższych podniecała przedsięwziąć, w krytyce dała zgubny przykład coraz zuchwalszym następcom. Dmochowski pracował nad tłumaczeniem Iliady w epoce, kiedy prolegomena Wolfa o Homeridach zwróciły powszechną filologów uwagę. Wielki spór literacki, może najważniejszy w dziejach krytyki nowożytniej, dzielił uczonych angielskich i niemieckich, zajął nawet

*) Styl poezyj homerycznych, tok opowiadania właściwy Iliadzie, zniknął albo się zupełnie odmienił w tłumaczeniu. Dmochowski ani historycznie ani krytycznie poezyj homerycznych nie rozumiał.

Francyą, gdzie nauki starożytne w nędznym były stanie. Nasz tłómacz Iliady, wielkiego, wiele lat pracy kosztującego dzieła, tyle tylko o Homerze w przedmowie powiedzieć umie, ile w podróżach Anacharsysa wyczytał. Ze wszystkich uczonych o Homerze piszących, od Wolfa do Benjamina Konstant, nikt jeszcze nie odwoływał się do powagi Bartelemi. Cóż powiedzieć o przypiskach do Iliady, gdzie Homer z Wirgiliuszem, Tassesem i podobno z Wolterem porównywany i to w jaki sposób? Oto pojedyncze okresy lub wiersze powyrywane, potłómaczone i obok siebie postawione. Jeśli można odgadnąć zamiar tłómacza, chciał on dać wyobrażenie o różnicy talentu czyli stylu tych poetów, obnosząc, jak ów architekt, cegielki ze świątyn Iliady i Jerozolimy wyzwolonej. W dziewiętnastym wieku zdaje się, że czytamy pedantskiej pamięci Vossiusza rozprawę i dziecinne jego na podobnych zasadach oparte zdania. Szkoła

poetycka Dmochowskiego, to jest naśladowców i tłumaczy s francuskiego społeczeństwach i późniejszych, o ile pomnażała się liczbą, o tyle ścieśniała widoki, ograniczała się w nauce i drobniła w talentach. Łacina do reszty wyszła była z mody, o greczyźnie mówić przestano i tym więcej broniono klasyków, im więcej zaniedbywano klasyczne języki. Nakoniec literatura francuska, część literatury powszechnej, stała się alfa i omega naszych uczonych. Zamiast Iliady, Eneidy, Raju utraconego, tłumaczono dziesięcioletnią pracą Delila, Leguve, Kolardo, następnie różne ody, epitry, tragedye i komedye zachwalone w dziennikach paryskich. Po długim przeciągu czasu, kiedy już o tych tworach w Paryżu zapomniano, wychodziły one u nas i wzbudzały entuzjazm krytyków. Co do stylu, wszyscy prawie tłumacze długą wprawą doszli do tego, że wszyscy równie poprawni, równie od prowincjonalizmów i nowych

wyrażen wolni, wszyscy dobrze piszą wiersze. Wiersze te dziwnie do siebie podobne, zdają się z jednego kruszczu, z jednej pochodzić mennicy. Sprawdziło się filozoficzne przysłowie, że chcąc dwie rzeczy zupełnie do siebie podobnemi uczynić, naprzód im życie odjąć potrzeba. Czy to tłómaczenia Moliera, czy Iliady, Milтона czy Leguве, jeden wszędzie tok wiersza, styl, ledwie nie rymy. Franciszek Salezy Dmochowski nazywa to ciągłym postępem narodowej poezyi. Nie ujmujemy zasługi ostatnim tłómaczom, oni wszyscy razem ledwie nie dokonali w Polsce tego, co Defokonpre jeden dla Francyi zrobił, lubo Defokonpre i ważniejsze dzieła i w większój liczbie potłómaczył.

Smutniejszy jeszcze widok, jeśli być może smutniejszy, przedstawia szkoła krytyczna w tej epoce. Jój *corpus juris* składały kursa literatury w liceach i pryta-neach francuskich na ówczas używane, przedmowy znajdujące się na czele dzieł

Kornela, Rasyna i Woltera, rozbiory (*Examen du Cid, du Polyeucte etc.*) i komentarze wspominające jeszcze o sporach ze Skiuderym i Szaplenem, uwagi retoryczne i grammatyczne nad wierszami francuskimi. Tak bogato w wiadomości opatrzeni krytycy, zaczynali pospolicie od nadania autorom pewnych tytułów; jednego zowiąc polskim Kornelem, drugiego Pindarem, innego znowu xiążęciem mowców lub poetów. Szczęśliwszym dostawało się kilka razem donacyi i tytułów. Któryś z młodych recenzentów warszawskich nazwał to dowcipnie literacką maskaradą. W ocenieniu szczegółowém autorów i ich porównywaniu powtarzały się wiecznie owe szkolne topiki: ten np. autor lekki, dowcipny, zabawny, tamten ponury, smutny, górny i t. p. Jeżeli który z Ixów zastanawiając się nad tragedją wzniósł się do wyższych spekulacyj, do ropraw o trzech jednościach i

pokazał, że jednéj lub drugiéj brankie w sztuce, jeśli dostrzegł że między sceną a sceną próżny został teatr, dowiódł że w téj lub w owéj scenie trzeba sobie wyobrażać przysionek zamiast sieni, zdumiewano się nad talentem i wiadomościami takowego Ixa. W wyroku o stylach albo raczéj o stylu, bo jeden tylko styl znano, do jednego dążono, wyłączną powagę miały retoryczne i grammatyczne o wierszach francuskich przepisy. Najwięcej też lubiono krytykę drobiazgową, bo po wygadaniu się o trzech jednościach, o poetykach Horacego i Boala, już się uwag ogólnych przebierało. Okresy więc, wiersze szczególne, wyrazy, całą zajęły uwagę. Zabawnie było widzieć recenzentów obracających spólnemi siłami jedno wyrażenie lub wiersz, często niegodny uwagi, ciągnących go mozolnie na forum krytyczne, jak mrówki Karpińskiego tuszę muchy lub ćwierć robaczka i ledwie

nie upadających pod tak wielkim ciężarem *).

W takim stanie krytyki, godne uwagi i budujące jest dobre porozumienie sąsiedzkie **) w jakim krytycy z sobą i z au-

*) Zob. w Gazecie Polskiej 1827 siedm artykułów o przekładzie jednéj zwrotki z Lefran Pompinian. Lefran Pompinian ze wszystkimi swemi dziełami ledwie zasługuje na wspomnienie w literaturze francuskiej.

**) Autor historyi literatury nie poważa się dzieł oceniać. „Miałemże, powiada, dla osób zwłaszcza żyjących o wszelkich zapomnieć względach? przez słuszność i związki towarzyskiego pożycia uczynić tego nieśmiałem. Natomiast zdanie obce, zwłaszcza tak przyzwoitych sędziów jakimi są: Ludwik Osiński, Stanisław Potocki, Franciszek Dmochowski, wiernie przytaczam.“ Wybierzmy losem niektóre: Stanisław Potocki o tłumaczeniu Iliady mówi: „Dmochowski przełożył myśli Autora (Homera) z wielką gładkością na język ojczysty. Jeszcze mi się nie trafiło wciąż przeczytać dwie lub trzy pieśni z dawniejszych tłumaczeń (więc nie czytał przedtém Iliady!) bez jakiejś tęsknoty (?). Przeczytałem Dmochowskiego wciąż i z upodobaniem.“ Czytałże kto podobne zdanie w jakiegokolwiek historyi literatury? Jest to właśnie jeden ze szcze-

torami żyli, uszanowanie z jakim zobopólne wyroki przyjmowali i skrupulatność z jaką je dosłownie z ust do ust, z pióra do pióra przelewali. Zdanie Xiędza Go-

gólnych charakterystycznych przymiotów Iliady, że w niej nigdzie Autor nie wychodzi na scenę i myśli własnych nie objawia. Możnaż powiedzieć że pieśni tej cudownej Epopei, są to myśli Autora (Homera) o wojnie Trojańskiej. Xiądz Baka pisał wierszem Uwagi o śmierci niechcibnej. Jego biograf twierdzi żartobliwie, że Milton pisał równie wierszem uwagi nad Rajem utraconym. Nie obrażę tą uwagą szanownych cieniów Stanisława Potockiego. Wielki mowca i zasłużony mąż ojczyźnie nie utraci przez to sławy, że się niepotrzebnie wdawał w retorykę i krytykę. Szanowalibyśmy słabość męża i pokrylibyśmy milczeniem jego uchybienia, ale mógłże professor literatury w Warszawie Osiński przytaczać owe zdanie jako nader ważne, a professor historii powtarzać je jako nader poważne. — Str. 306. „Trembecki prawdziwy okazał talent rymotwórczy, łączy bowiem w poezjach swoich śmiałość Pindara z gustem Horacego, a słodyczą Safony.“ Gdyby kto powiedział o kompozytorze muzycznym że iest razem Mozartem, Rossinim, Hümlem, i Orfenszem! albo o malarzu że ma styl Rafaela, Rembrandta, Dawida i Apellesa! O charakterze poezyj Safony

łańskiego przytacza Franciszek Dmochowski, Franciszka Dmochowskiego przytacza Ludwik Osiński, wszystkich przytacza Stanisław Potocki, wszyscy przytaczają

wiemy tylko z podania, bo dzieł jój ledwo drobne zostały ułamki. (Odaria duo integrora et cetera carminum frustula. Grodeck.) Wyjaśniać zalety Trembeckiego porównyując charakter jego poezyj do charakteru pieśni Safony, jest to objaśniać przez rzecz dość ciemną. Dodajmy, że słodycz nie była szczególnym i głównym przymiotem dzieł Safony; przyznawano jój vim, gratiam na koniec dulcedinem. Zdanieo Trebeckim zasługuje na uwagę. Trudno jest w mniejszej liczbie wyrazów zawrzeć więcej niedorzeczności. Str. 303. „Kniaźnin w pieśniopisarstwie nie poślednie trzyma miejsce, imaginacya żywa, obrazy dowcipne (?) i bardziej przez swą łachotliwość niż śmiałość wymuszające na czytelniku pewien rodzaj zdziwienia, tudzież drażliwe schlebianie zmysłności znamionują poezye Kniaźnina.“ Niewymienił Bentkowski który to s przyzwoitych sędziów ferował tak głęboko pomyślany wyrok. O Józefie Lipińskim słowa St. Potockiego. „Mało wierszy swoich powierzył publiczności, ale to co powierzył jest tak dobrze wyrobione, że małym być przestaje.“ Nieznamy dobrze języka matematycznego, ale zdaje się nam, że to co przestaje być małym przechodzi w mniejszość lub nicność.

Stanisława Potockiego. Zdania te koncentrują się na chwilę w historyi literatury Bentkowskiego, skąd w różnych przytaczaniach kanałem dzienników, przedmów i mów pochwalnych do swoich źródeł wracają. Utrzymuje się tym sposobem w Warszawie w ciągłym obiegu pewna liczba zdań niemających gdzieindziej żadnej wartości, jak na Zmudzi ciągle krążą stare talary holenderskie i orty.

Józef Lipiński nieszczęśliwie wyrabiał tłumaczenia Wirgiliusza i Tassa. Dawniej Simonowicz naśladował i częściami tłumaczył Bukoliki, a Piotr Kochanowski Jerozolimę. Porównywając dawne tłumaczenia mniej poprawne, lecz pełne życia, śmiałe i bogate w wyrażenia, z Lipińskiego suchym i prozaicznym wierszem, najlepiej możnaby pokazać manierę nowej szkoły i dowieść jak wiele nasi tłumacze na francuzczyźnie tylko zaprawieni przynieśli szkody mowie ojczystej. Odarto ją rzeczywiście ze wszelkich ozdób stylu, zdjęto, że tak powiem, szatę i nawet ciało z myśli i uczuć, a wiersze zamieniono na ciąg syllogizmów. Inne zdania są lakoniczniejsze np. Str. 312. „Osiński Ludwik prawdziwym okazał się lirycznym (?). Tamże. „Kozmian prawdziwym okazał się poetą lirycznym.“ —

Téj krytycznej szkoły dotąd istnieją w Warszawie zwolennicy, coraz w przykrzejszém i zabawniejszém względem Europy położeniu. Wszystko się koło nich w literaturze od Gibraltaru do morza białego zmieniło: oni na poetyce szkolnej jak na kotwicy stoją nieporuszeni. Słabiejącą odwagę krzepią czytaniem broszurek i kilku dzienników francuskich, najmniej we Francyi czytanych. Moznaby ich porównać do owych prawodawców naszych, na mocy konstytucyi, której nie rozumieli, obstających za władzą hetmańską i liberum veto, i mimo przyjętej w ościennych krajach nowej taktyki przeciwiących się zagranicznemu autoramentowi, i przekonanych, że oprócz kawaleryi narodowej wszystko jest czczym niemieckim wymysłem. Daremnie do nich Krasicki, a my z Krasickim wołamy do tak nazwanych klasyków:

Trzeba się uczyć, upłynął czas złoty.

Już krytyka historyczna w dziejach naszych zajaśniała, już w prawoznawstwie

metoda historyczna wypędziła dawny dogmatyzm, krytyka literacka jeszcze zupełnie scholastyczną została. Dzisiaj, że wschód pomine, w samej Europie tylu narodów, tak bogate literatury stoją otworem. Sami Francuzi, wyrzekłszy się wmawianej przez szkołę Woltera swojej wyłącznej cywilizacyi, uczą się, tłumaczą, nowe tworzą rodzaje. Nasi uczeni, oprócz literatury francuskiej do połowy ośmnastego wieku, nic godnego uczenia się nie widzą. Rozumują z Kalifem Omarem, że albo wszystkie obce literatury zgodne są z poetyką Boala i wtenczas mniej potrzebne, albo niezgodne, a zatem szkodliwe. Obstają niby przy starożytności, przy klassyczności, jakże niesumiennie nadużywają tych wyrazów? Toż oni nie umiając łaciny, nie mając pojęcia o greczyźnie, chcą uczyć Anglików i Niemców jak starożytną sztukę cenić i czuć należy, o ile formy jej naśladować wolno. Dziś kiedy w tylu językach tyle arcydzieł tak róż-

żnych zajmuje uwagę Europy, ażeby je
sądzić, ażeby ogólne o sztuce czynić uwagi,
trzeba talentów i różnostronnej nauki Szle-
glów, Tika, Simondego, Hazlita, Gizo,
Wilmena, i redaktorów Globu. Jakże ku
temu dążą recenzenci ze szkoły Xiędza
Golańskiego i Franciszka Dmochowskiego.
Jedni śmieją się z Getego, którego dzieła
na całym ucywilizowanym świecie aż do
rogatek warszawskich tłómaczono, czy-
tano i ceniono: drudzy cieszą się że *nie*
umieją po hollendersku i nie czytają Les-
singa: inni radzą nawet wyciągnąć kordon
zdrowia, ażeby przypadkiem nauka nie
wkradła się z zagranicy. Tój blokady
rozuemu, acz potrzebnej do utrzymania
w cenie wyrobów wierszowych warszaw-
skich, nie uznaje publiczność. Oświad-
czyli się przeciwko niej w samej War-
szawie niektórzy poeci i teoretycy. Za-
raza obcych nauk szerzy się tak dalece,
że nawet prawowierni klassycy przyta-
czają imiona Getego, Mura, Byrona: imion

tych wielkich nie należałoby wzywać nadaremnie, kiedy dzieła ich jeszcze tak mało znane, tak rzadko dostają się za kordon klassyczny. Rosprawiać zaś o tych dziełach, tudzież o sztukach i o poezyi w ogólności, z zapasem tylko szkolnych prawideł i z Laharpem, można za stołem lub w salonie, ale z piórem w gazecie literackiej, już się nie godzi. Recenzenci klassyczni warszawscy stanowiący śmiało i zarozumiale o ważnych przedmiotach literatury, podobni są do miasteczkowych polityków, którzy nie czytając nawet gazet zagranicznych wyrokują o tajemnicach gabinetów i działaniach wodzów. Szczęśliwi! — Pisałem w Petersburgu 1828 r.

M
K
K

R
T
T

C
P
Z

1

DO S. B.

W IMIENNIKU.

MINEŁY chwile szczęśliwsze niestety!
Kiedy na błoniach był kwiatów dostatek,
Kiedy mi łatwiej było o bukiety,
Niżeli teraz o kwiatek.

Ryknęły burze, ciągle leją słoty,
Trudno wynaleźć na ojczystej błoni,
Trudno wynaleźć, gdzie kwiat błyskał złoty,
Listka dla przyjaznej dłoni.

Co wynalazłem, niech tobie poświęcę,
Przyjmij go wdzięcznie, chociażby z téj miary,
Ze był ten listek w przyjacielskiej ręce,
Ze to ostatnie są dary.

1824 r. 24. *Października w Wilnie.*

C Z A T Y

BALLADA UKRAIŃSKA.

Z ogrodowej altany,
Wojewoda zdyszany,
Bieży w zamek s. wściekłością i trwogą;
Odchyliwszy zasłony,
Spojrzał w łóżę swjej żony,
Pojrzał, zadrżał — nie znalazł nikogo!

Wzrok opuścił ku ziemi,
I rękami drżącemi
Siwe wasy pokręca, i duma.
Wzrok od łóża odwrócił,
W tył wyloty zarzucił,
I zawołał kozaka Nauma.

„Hej kozaku, ty chamie,
Czemu w sadzie przy bramie,
Niema nocą ni psa, ni pacholka?
Weź mi torbę borsuczą,
I janczarkę hajduczą,
I mą strzelbę gwintówkę zdejm s kołka.“

Wzięli bronie, wypadli,
Do ogrodu się wkradli,
Kędy szpaler altanę obrasta.
Na darniowém siedzeniu
Coś bieleje się w cieniu,
To siedziała w bieliznie niewiasta.

Jedną ręką swe oczy
Kryła w puklach warkoczy,
I pierś kryła pod rąbek bielizny;
Drugą ręką od łona
Odpychała ramiona,
Klęczącego u kolan mężczyzny.

Ten ściskając kolana,
Mówił do niej: „kochana!
„Więc już wszystko, jam wszystko utracił?
Nawet twoje westchnienia,
Nawet ręki ściśnięcia,
Wojewoda już z góry zapłacił?“

„Ja choć s takim zapalem,
Tyle lat cię kochałem,
Będę kochał i jęczał daleki;
On nie kochał, nie jęczał,
Tylko trzosem zabrzęczał,
Tyś mu wszystko sprzedała na wieki!“

Co wieczora on będzie,
Tonąc w puchy łabędzie,
Stary łeb na twém łonie kołysał,
I s twych ustek różanych,
I s twych liców rumianych
Muie wzbronione słodyczne wysysał.

„Ja na wiernym koniku,
Przy księżycu promyku,
Biegę tutaj przez chłody i słoty;
Bym cię witał westchnieniem,
I pożegnał życzeniem
Dobréj nocy, i długiej pieszczoty!“ —

Ona jeszcze nie słucha,
On jęj szepce do ucha
Nowe skargi, czy nowe zaklęcia:
Aż wzruszona, zemdłona,
Opuściła ramiona,
I schyliła się w jego objęcia.

Wojewoda s kozakiem
Przyklęknęli za krzakiem,
I dobyli z zapasa naboje,
I odcięli zębami,
I przybili szteflami,
Prochu garść i grankulek we dwoje.

„Panie!“ kozak powiada,

„Jakiś bies mię napada,

Ja niemogę zastrzelić téj dziewczki.

Gdym półkurcze odwodził,

Zimny dreszcz mię przechodził,

I stoczyła się iza do panewki.“

„Ciszej, plemię hajducze,

Ja cię płakać nauczę,

Masz tu z prochem leszczyńskim sakiewkę:

Podsyp zapal a żywo,

Sczyść paznokciem krzesiwo,

Potém palnij w ten łeb, lub w tę dziewczkę.

„Wyżej!... w prawo!... pomału!..

Czekaj mego wystrzału,

Pierwój musi w łeb dostać — Pan młody.“ —

Kozak odwiódł, wycelił,

Nieczekając wystrzelił,

I ugodził w sam łeb — wojewody.

G O D Z I N A.

ELEGIA.

Przed godziną żrenicy nie zdjawszy z zegarów,
Chciałaś naglić oczyma skazówek pochopy,
I słuchem natężonym, pośród miejskich gwarów
Rozpoznawałaś zdala łoskot mojej stopy.

Dzień miał jedną godzinę, w której — wspo-
mnieć miło,

Że nie u mnie jednego żywił serce biło.

Ja w tę godzinę wieczną wpleciony katuszą,

Jak Iksion w koło niej krążyłem z mą duszą.

Nim nadeszła, dzień cały ja na nią czekałem:

Gdy minęła, dzień cały o niej rozmyślałem:

Bawiąc się z mnóstwem drobnych, lecz miłych
pamiątek.

Jakie było przyjęcie? rozmowy początek?

Jak się czasem przykre mu dało wymknąć
słowu,

Po niem niezgoda, po niej miłsza zgoda znowu.

Smuciłem się — ty z oczu powody wysledzasz;

Przychodziłem z prozbami — ty jedne uprzedasz,

Drugich wymówić nie dasz; na jutro odkła-
dam,

I znowu jutro nie śmiem; czasem gniewny
wpadam —

Rozbrajasz mnie uśmiechem; a gdym w gnie-
wie przebrał,

Gniéwałeś się, jam znowu przebaczenia żebrał.

Ach! każde słowo twoje, wszystkie twe
spojrzenia,

Pieszczoty i nadzieje, i wspólne cierpienia,
Wszystko to pamięć wiernie malowane
trzyma:

Przeprowadzam ten obraz przed duszy oczyma,
Jak sknéra, gdy mu skarbiec udało się
schwycić,

Patrzy i schnie, i oczu nie może nasycić.

Tą godziną jam przeszłość z mą przyszłością
łączył,

Od niej milsze dni zaczął, i na niej zakończył.

Ona w zbrukaném paśmie mojego żywota,

Zabłysnęła mi jedna, jedna nitka złota.

Jam się do niej jak prządek skrzydlaty uczepił,
Snuł ją w koło i w niej się na wieki zasklepił.

Słońce wbiegło w tę samą nieba okolicę;
Godzina uderzyła! gdzież są jej źrenice?

Gdzie myśli? — Ona teraz w czulej pieści
dłoni

Cudzą rękę, niewierna! i do cudzej skroni
Usta ciśnie, i łza jej na cudzą twarz spada,
I serce biciom cudzej piersi odpowiada.
Dziś możeby tej nowej pary nie rozdzielił,
Piorun, któryby we mnie przed progiem
wystrelił!

Samotności wzgardzona! o téjże godzinie
Niegdyś cię porzuciłem, wracam w twą
świątynię,

Jak do piastunki dziecię ze łzami powróci,
Obłąkane na chwilę ponętą łakoci.

Daruj, ponęta szczęścia zawždy nazbyt silna,
Zbyt trudno się przekonać, że zawždy omylna.
Może jeszcze ten ogień niegodny zatłumię,
Wszak jest nadzieja w czasie i milczącój dumie.
Patrz, weszła na mém oknie wędrowną roślina;
Lecz nie ma liściom miejsca; już gałązki
zgina.

Kiedy te zwiędną, ziarno zmuszone umierać;
Tak i ja nie mam przed kim skarg mych
rozpościierać.

Gorzki ten owoc cierpień kiedy w ustach skona,
Pewnie i w sercu potem zamorzę nasiona. —

Lecz nadzieje dalekie! dziś pogoda nęci,
W polach, w niebie, na falach, szukać nie-
pamięci.

Czas przechodzi, dla czegoż wyjście moje
zwlekam?

Za każdym drzwi ruszeniem jęj posłańca czekam,
Niekiedy rąk jęj zradne charaktery czytam,
Niekiedy mój zegarek bez potrzeby chwytam.

Raz porwałem się z miejsca, stanąłem u progu,
Ach! była to godzina, dawna moc nałogu.

Jak ten, co mu śmierć lubą wydarła osobę,

Mimo dotkliwą boleść i długą żalobę,

Zabłąkawszy się w myślach — niestety! błąd
luby! —

Na chwilę, mgnienie oka, zapomni swęj zguby,

Bieży, i tak się mocno złudzeniem omami,

Ze już progi przestąpił — i zalał się łzami.

NIEPEWNOŚĆ.

Gdy cię nie widzę, nie wzdycham, nie płaczę,
Nie tracę zmysłów, kiedy cię zobaczę;
Jednakże, gdy cię długo nie oglądam,
Czegoś mi braknie, kogoś widzieć żądam,
I tęskniąc, sobie zadaję pytanie:
Czy to jest przyjaźń? czy to jest kochanie?

Gdy z oczu znikniesz, nie mogę ni razu
W myśli twojego odnowić obrazu;
Jednakże nie raz czuję mimo chęci,
Ze on jest zawsze blisko méj pamięci.
I znowu sobie powtarzam pytanie:
Czy to jest przyjaźń? czy to jest kochanie?

Cierpiałem nieraz, nie myślałem wcale,
Abym przed tobą szedł wyléwać żale;
Idąc bez celu, nie pilnując drogi,
Sam nie pojmuję jak w twe zajdę progi;
I wchodząc sobie zadaję pytanie:
Co tu mię wiodło? przyjaźń czy kochanie?

Dla twego zdrowia życiabył nie skąpił,
Po twą spokojność do piekielbym zstąpił,
Choć śmiałej żądry nie ma w sercu mojem,
Bym był dla ciebie zdrowiem i pokojem.
I znowu sobie powtarzam pytanie:
Czy to jest przyjaźń? czy to jest kochanie?

Kiedy położysz rękę na me dłonie,
Luba mię jakaś spokojność owionie,
Zda się że lekkim snem zakończę życie;
Lecz mnie przebudza żywsze serca bicie,
Które mi głośno zadaje pytanie:
Czy to jest przyjaźń? czyli też kochanie?

Kiedym dla ciebie tę piosenkę składał,
Wieszczy duch memi ustami nie władał;
Pełen zdziwienia, sam się nie postrzegłem,
Skąd wzięłem myśli, jak na rymy wbiegłem;
I zapisałem na końcu pytanie:
Co mię natchnęło? przyjaźń czy kochanie?

F A R Y S *).

KASYDA NA CZEŚĆ EMIRA

TADŻ - ULFECHRA **) UŁOŻONA,

JANOWI KOZŁOW

na pamiątkę przypisana.

JAK łódź wesoła, gdy uciekłszy z ziemi,
Znowu po modrym zwija się kryształ,
I pierś morza objawwszy wiosły lubieżnemi,
Szyją łabędzią buja po nad fale;
Tak Arab, kiedy rumaka z opoki
Na obszar pustyni strąca;
Gdy kopyta utoną w piaszczyste potoki,
Z głuchym szumem, jak w murtach wody stal
gorąca.

Już płynie w suchém morzu koń mój, i roz-
cina

Sypkie bałwany piersiami delfina.

*) Farys, jeździec; jestto zaszczytne nazwanie
u Arabów beduinów, znaczące to samo co che-
valier, rycerz, w wiekach średnich.

**) Pob tém imieniem znajomy jest na wschodzie
Wacław Hrabia Rzewuski.

Coraz chyczéj, coraz chyczéj,
Już po wierzchu zwir zamiata;
Coraz wyżéj, coraz wyżéj,
Już nad kłęby kurzu wzlata.

Czarny mój runak jak burzliwa chmura *),
Gwiazda na czole jego jak jutrzienka błyska,
Na wolą wiatrów puścił strusiej grzywy pióra,
A nóg białych polotem błyskawice ciska.

Pędź latawce białonogi.
Góry z drogi, lasy z drogi!

Daremnie palma zielona,
Z cieniem i owocem czeka;
Ja się wydziéram z jéj łona,
Palma ze wstydem ucieka,
Kryje się w głębi oazy,

I szmerem liści z mojej dumy się uśmiecha.

Owdzie, granic pustyni pilnujące głazy,
Dziką na beduina poglądają twarzą,
Kopyt końskich ostatnie podrzeźniając echa,
Taką za mną groźbą gwarzą:

*) Cztery te wiersze zawierające opisanie konia są tłómaczone z Arabskiego czterowiersza, umieszczonego w notach do Antologii Arabskiej de Lagrange.

„O szalony! gdzie on goni!
Tam od ostrych słońca grotów,
Głowy jego nie ochroni,
Ni palma zielono - włosą,
Ni białe łono namiotów:
Tam jeden namiot — niebiosą.
Tylko skały tam nocują,
Tylko gwiazdy tam koczują.“

Daremnie grożą, daremnie!
Pędzę i podwajam razy:
Spojrzałem, aż dumne głązy
Zostały z dala odemnie,
I ze wstydu, rzędem długim
Kryły się jeden za drugim.

Sęp usłyszał ich groźbę, i ślepo uwierzył,
Ze beduina weźmie na pustyni jeńcem,
I w pogoń za mną skrzydłami uderzył;
Trzykroć czarnym obwinał głowę moję wieniec:
„Czuje, krakał, zapach trupi,*)
Jeździec głupi, rumak głupi.

*) Powszechny na wschodzie przesąd, że sępy czują śmierć z daleka i krążą za człowiekiem mającym umrzeć. Jakoż, zaledwie skończył podróżny, wnet kilka ich zjawia się w okolicy, chociaż pierwój zgoła nie były widziane.

Jeździec w stepach szuka drogi,
Szuka paszy białonogi.
Jeźdźcze, koniu, pusta praca!
Kto tu zaszedł, nie powraca.
Po tych drogach wiatr się błąka,
Unosząc z sobą swe ślady;
Nie dla koni jest ta łąka,
Ona tylko pasie gady.
Tylko trupy tu nocują,
Tylko sępy tu koczują.“

Kracząc, lśniącemi szpony w oczy mi uragał,
I spojrzeliśmy sobie trzykroć oko w oko.
Któż się uląkł? — Sęp uląkł, i uciekł wysoko.
Kiedym go chciał ukarać, i majdan naciągał,
I gdym sępa oczyma po za sobą tropił,
Już on wisiał w powietrzu jako plamka szara,
Wielkości wróbla, motyla, komara;
Potém się całkiem w błękiecie rostopił.

Pędź latawce białonogi,
Skały z drogi, sępy z drogi!

W tenczas obłok zachodni wyrwał się z pod
słońca,

Gonił mię białém skrzydłem po błękitnym skl pie.
On w niebie za takiego chciał uchodzić gońca,
Jakim byłem ja na stepie.

Nad głową moją zawisnął,
Taką groźbę z wiatrem świsnął:
„O szalony! gdzie on goni!
Tam pragnienie piersi stopi,
Obłok deszczem nie odkropi
Osypanej kurzem skroni.
Strumień na błoniu jałowém,
Nie ozwie się srebrném słowem.
Rosa nim na ziemię spadnie,
Wiatr ją głodny w lot roskradnie.“

Daremnie grozi! pędzę i podwajam razy;
Obłok strudzony zaczął po niebie się słaniać;
Coraz niżej głowę skłaniać;
Potém oparł się na głazy.

A gdym oczy raz jeszcze ze wzgardą obrócił,
Jużem o całe niebo w tyle go porzucił.
Widziałem s twarzy co on w sercu knował:
Zaczerwienił się od złości,
Oblał się żółcią zazdrości,
Na koniec jak trup szerniał, i w górach się
schował.

Pędź latawcze białonogi,
Sępy z drogi, chmury z drogi!
Teraz oczy kręgiem słońca,
Okręciłem koło siebie.

I na ziemi i na niebie,
Już nie było za mną gońca.
Tu natura snem ujęta,
Nigdy ludzkich stóp niesłyszysz;
Tu żywioły drzemią w ciszy,
Jak niepłoszone zwierzęta,
Których stado nie ucieka,
Widząc pierwszą twarz człowieka.

Przebóg! ja tu nie pierwszy; wśród piaszczystej
kupy

Oszancowane świecą się zastępy,
Czy błędzą, czy z zasadzki czatują na
łupy?

Jeźdźce w bieli, i konie straszliwej białości:
Przybiegam — stoją; wołam — milczą; to są
trupy;

Starożytna karawana,
Wiatrem z piasku wygrzebana.
Na skieletach wielbłądów siedzą jeźdźców
kości.

Przez jamy, gdzie były oczy,
Przez odarte s ciała szczęki,
Piasek strumieniem się toczy
I złowrogie szemrze jęki:

Beduinie opętany
•Gdzie lecisz? tam huragany *)!

Ja pędzę, ja nieznam trwogi.
Pędź latawcze białonogi,
Trupy, huragany z drogi!

Huragan z afrykańskich pierwszy wichrzy-
cieli

Przechadzał się samotny po żwiru topieli.
Obaczył mię z daleka, wstrzymał się i zdumiał,
I kręcąc się na miejscu tak do siebie szumiał:
Co tam za jeden z wichrów moich młodszych
braci,

Tak poziomego lotu, nikczemnej postaci,
Śmie deptać lądy którem w dziedzictwie osią-
gnął?

Ryknął i ku mnie w kształcie piramidy ciągnął.
Widząc żem był śmiertelny i nieustraszony

*) Huragan. Jest to wyraz amerykański urikan i oznacza straszliwą burzę tropikową. Ponieważ znajomy powszechnie w Europie, użyliśmy go zamiast wyrazów arabskich Semum, Serser, Asyf, i t. p. w znaczeniu wichru albo trąby powietrznej, zasypującej niekiedy całe karawany. Persowie nazywają go Girdebad.

Ze złości ład nogą trącił,

Całą Arabiją zmącił,

I jak gryf ptaka porwał mię w swe szpony —

Oddechem ognistym palił,

Skrzydłami kurzawy walił,

Ciskał w górę, bił o ziemię,

Nasypywał żwiru brzemię,

Ja zrywam się, walczę śmiało,

Targam jego członków kłęby,

Ćwiertuje piaszczyste ciało,

Gryzę go wściekłemi zębami —

Huragan chciał z mych ramion w niebo uciec
słupem,

Niewydarł się, w pół ciała zerwał się i ru-
nął,

Deszczem piasku z góry lunął,

I leżał u nog mych długim jak wał miejski
trupem.

Odetchnąłem! ku gwiazdom spoglądałem da-
mnie;

I wszystkie gwiazdy, oczyma złotemi,

Wszystkie poglądały ku mnie:

Bo oprócz mnie nie było nikogo na ziemi.

Jak tu mile oddychać piersiami całemi!

Oddycham pełno! szeroko!

Całe powietrze w Arabistanie
Ledwie mi na oddech stanie.
Jak tu mile poglądać oczyma całemi!
Wytężyło się me oko
Tak daleko! tak szeroko!
Ze więcej świata zasięga
Niż jest w kole widnokręga.
Jak miło się wyciągnąć ramiony całemi!
Wyciągnąłem ku światu ramiona uprzejme,
Zda się że go ze wschodu na zachód
obejmę.
Myśl moja ostrzem leci w otchłanie błę-
kitu,
Wyżej, wyżej i wyżej, aż do niebios
szczytu.
Jak pszczoła topiąc żądło i serce z niém
grzebie,
Tak ja za myślą duszę utopiłem w niebie!
R. 1828. Petersburg.

NA POKÓJ GRECKI.

W DOMU XIEŻNÉJ ZENEIDY WOLKOŃSKIÉJ.
w Moskwie.

Skróś ciemnoty wiedziony jój gwiazdzistym
wzrokiem,

Goniąc białą jój szatę po szybach hebanu,
Wszedłem — czy to kraina za Lety potokiem,
Czy miast wielką mumija, zwłoki Herkulanu?
Nie! tu cały świat dawny na piękności słowo;
Odbudował się chociaż nie ożył na nowo.
Z mozaiki świat cały! każdy jego szczątek,
Jest odłamem dzieł sztuki, wielkości pamiątek.

Tu kamienia podróżna nieśmié trącić noga,
S kamienia płaskorzeźbą wygląda twarz Boga:
Gniewny zda się swojego pohanbienia wstydzic,
Depcących dawną wiarę ludzi nienawidzić,
I na powrót w marmuru ukrywa się łonie,
Skąd przed wieki snycerskie wyzwały go dłonie.

Wkoło pędzłem i dłótem strojne sarkofagi
Co miały proch królewski bronić od zniewagi,
Dziś same na proch lecąc, potrzebują trumny.
Gdzie niegdzie ścięta głowa nieznanej kolumny,

Skaleczona, odarta, podeptana w pyle,
Wala się iako trupia czaszka na mogile.

Tam od starości ledwie na nogach się trzyma
Obelisek przychodzień s krain Mizraima:
Widzisz na nim te rysy dziwacznej osnowy,
Te pisma zatraconej dawnych sfinxów mowy:
To hieroglif! pod jego zasłoną leżąca
Myśl głęboka w letargu śpi od lat tysiąca:
Jak mumija zamknięta w balsamiczne łożo
Cała, nieskazitelna — zmartwychwstać niemoże! —

Nie tylko sztuki twoje, znikomy człowieku,
Lecz martwą pierś żywiołów przetrawia zęb
wieku.

Patrz na ów kamień drogi zaniedbany w piasku,
Niegdyś był cudny barwy, słonecznego blasku:
Heż wieków przeświecił, aż wylawszy z łona,
Całą jasność, zamierzchnął jak gwiazda zga-
szona.

Śród gruzów jeden cały stał óltarz Saturna.
Tam jedna ryta z bronzu korynckiego urna.
W łonie jej zwolna płomyk przebudza się
blady;

Czy to zmartwychwstającej genijusz Hellady?
Wniósł głowę, błysnął okiem i na skrzydłach
tęczy

Podlatując — raz jeszcze promieniami wieńczy,
Skronie bogów, niebianek drzemiących w około,
I nimfy przewodniczki najpiękniejsze czoło.

O niech te wszystkie bostwa nad pamiętek
ziemią,

Wiecznie snem marmurowym i brązowym
drzemią!

Ciebie tylko niech piękna przewodniczka zbudzi,
Najmniejszy z bogów dotąd uczczony od ludzi.
Swawolniku! uciekłszy z Afrodyty łona,
Drzémiesz, ssąc rubinowe piersi winogrona. —

Wielki grzech bez ofiary minąć bóstwo twoje!
O piękna nimfo! bądźmy nabożni oboje!
Niestety! przewodniczka chłodnym rzutem oka
Jak laską Merkurego uderza z wysoka,
I duszę mą lecącą w rokoszy kraj błogi
Wypędza bez litości za nadziei progi. —

Cóż opowiem wrócony do śmiertelnych kraju?
Ah, opowiem że byłem w pół drogi do raju,
Z duszą na poły tęskną, na poły radośną,
Słyszałem już tę rajską rozmowę — wpół-
głośną,

I widziałem to rajskie pół światła, pół cienia,
I doznałem — niestety! tylko pół zbawienia!

R. 1827. Moskwa.

POPAS W UPICIE.

(Zdarzenie prawdziwe.)*

Upita niegdyś miasto, powiatu stolica,
Dzisiaj miasteczko liche; jedna w niém kaplica,
I kilkanaście chatek żydowskięj siedziby.
Gdzie były ludne rynki dziś tam rosną grzyby.
Wzgórek obronny wałem i zwodzonym mostem,

Teraz broni się tylko pokrzywą i ostem.
Mury w gruzach, na miejscu zamkowego gmachu

Sterczy nędzna karczemka bez okien i dachu.

*) Siciński poseł upitski na sejmie (r. 1652) pierwszy dał przykład zerwania obrad, użyciem bezprawném veto, przez co władzę królewską do reszty osłabił, a kraj gminowładztwem szlacheckim zawichrzył. Jest podanie: że gdy wracał do domu okryty przeklęctwem ziomków, na samym progu zginął od piorunu. Kilka lat temu pokazywano w Upicie dawnego ale dobrze zachowanego trupa, który pod imieniem Sicińskiego, włączony od dziadów kościelnych jako osobliwość, był igraszką miasteczka. —

Tam na popasie z nudy rozważać począłem,
Miny i mowy ludzi siedzących za stołem.
Trzech było; pierwszy starzec s posrebrzanym
włosem,

Na łbie konfederatka rzucona ukosem,
Wąs augustowski, żupan dzisiaj popielaty
Trudno odgadnąć jaką miał barwę przed laty,
U pasa karabela. Obok siedział młody
We fraku s samodziału, krojem nowój mody,
Fryzował sobie czubek, kołnierzyk, a czasem
Bawił się s pływającym u bota kutasem,
Lub żartował s sąsiada, którego płaszcz długi
I krzyż czerwony znakiem kościelnego sługi.
Czwarty był żydek. Temu człowiek od pa-
łasza

Tak mówił „Heyno! dobra nasza bez maryasza!
Poco trupami w szabas arendarzów trwożyć?
Słuchajcie kumy, gotów z wami się założyć,
Że jak tylko Siciński na cmentarz odjedzie,
Dostaniem garniec miodu. Nie prawdaż są-
siedzie?

Arendarz kiwnął brodą. Słuchałem ciekawy.
Siciński? i w Upicie? imie strasznej sławy!
„O jakim trupie, rzekłem, toczycie rozmowy,
I o jakim Sicińskim? Na to kontuszowy:
O Sicińskim? s początku całą rzecz wywiode.

Na miejscu gdzie żydowską widzimy gospodę,
Był zamek nieboszczyka, przy tém imion
wiele,

Konnexye potężne, mnogie klientele,
A stąd ćma popleczników i kresek bez liku:
Siciński był dictator na każdym sejmiku!

Starszych i zasłużeńszych patricios zhasał.
Ale niedosyć na tém, na wyższe się kasał,
Poczęła téż klóć w oczy zbyt rogata дума,
Przyszedł sejmik poselski, nauczono kuma;
Bo gdy pewny wyboru posłem się ogłasza,
Kiedy dziękuje szlachcie, na objady sprasza,
I gdy się na Mazowsze wybiera do drogi,
Liczą turną, Siciński padł na cztery nogi.

Agitatus furiis et impotens irae

Umyślił zgubić szlachtę: o scelus! o dirae!
Daje objad, zwiedziona zbiera się drużyna
Gnie się stół pod misami, cieką strugi wina,
Łyka plebs, w tém blekocie zaprawione
męty

Durzą głowę: z wesela niechęci i wstręty.
Dalej klótnia, hałasy, istna wieża Babel.
Od zębów szło do kijów, od kijów do szabel,
Nie patrząc oka, boku, mordując jak wściekli,
Tros Rutulusve fuat, wszyscy się wysiekli.
Lecz truciznik niedługo wygraną się chwalił,

Bo go piorun z rodzeństwem i mieszkaniem
spalił.

Jak ów Ajax scopulo infixus acuto,
Exspirans flammas: straszna lecz słuszną pokuto!
Amen, rzekł dziad kościelny. Ekonom we
fraku

Porównywał tę powieść do zboża w przetaku,
I chcąc z bajecznej plewy prawdę wywiać naga,
Harfował żarcikami, zakończył uwagą:
Ze Pan Marszałek, s którym on do stołu siada,
I u którego książek niezmierna gromada,
Ilekroć o Sicińskim wspomni, zawsze mówi,
On zgubił nas, on ręce zawiązał królowi.

S tych słów marszałka głowa ekonomiczna
wniosła,

Że nie szło tam o sejmik ani wybór posła,
Że musiała być wojna — przeciw komu?
kiedy?

Trudno zgadnąć, zapewne s Turki albo Szwedy;
Pewno Siciński króla do Upity zwał,
Oddał w ręce najeźdźcom i ojczyznę zabił.

Chciał dalej rzecz prowadzić; lecz sługa ko-
ściółka

Żezem nań spojierając „niedobrze,” zawołał,
„Jeśli księdza plebana chcą uczyć dzwonniki,

Jeżeli przed siwymi biorą głos młodziki.
Ja wam opowiem jako najlepiej świadomy:
Nie sejmik ani wojna ściąga niebios gromy,
Lecz bezbożność. Siciński, wyrzekłszy się
wiary,

Zabrał, jak mówią, grunta należne do fary,
Niechciał płacić dziesięcin, niebyszał w ko-
ściele,

Pędził chłopów do pracy w święta i niedziele.
Chociaż mu nieraz biskup listami zagroził,
Choć go wykłął z ambony — Siciński nie
zważał.

W święto Bożego ciała, pod samo południe,
Gdy msza była w kaplicy, kazał kopać stu-
dnię.

Dokopał się swój zguby i powszechnej szkody:
Bo z owój studni tyle wybuchnęło wody,
Ze pola, kędy niegdyś bujały pszenice,
Zarosły w paproć, łąki poszły w trzęsawice.
Sicińskiego, jak słusznie pan sędzia namienił,
Piorun zabił, dom spalił, potomstwo wypenił.
Trup kłutwą uderzony dotąd cały stoi:

Ziemia go przyjąć niechce, robactwo się boi;
Nie znalazłszy, na ziemi święconej spoczynku,
Straszac ludzi, rzec można, wala się po rynku,
Bo go nieraz dziad jaki uniosłszy s cmentarza,

Wlecze w szabas do karczmy straszyć arendarza.

Skończył i drzwi stodoły odemknął. Tam stało Szkaradne, starożytne nieboszczyka ciało.

Nogi długie i czarne sterczą mu jak szczudła,
Ręce na krzyż złamane, twarz głęboko wchudła.

Oblicze wywędzone brud śmiertelny szpeci:
Usta wypsute, przez nie ząb gdzie niegdzie świeci.

Z resztą nietknięta ciała zdrowego budowa,
Postać ludzką od żywój niezbyt różną chowa.
Twarz nawet właściwego nie traci wyrazu
A jako na powierzchni starego obrazu,
Jeżeli mogły rysy pierwiastkowe zostać,
W tych resztach jeszcze dawna przebija się postać,

Tak owa twarz choć ogniem żywotnym nie płonie;

Lecz kto ją znał za życia, poznałby po zgonie.
Za pierwszym rzutem oka, coś takiego widać,
Czego żadnemi słowy niepodobna wydać.

Dzikość szpecąca żywych oblicze zbrodniarzy,
Zda się dotąd zamarła grozić z jego twarzy,
Dotąd zdradziecka radość w ustach się uśmiecha,

Gniew rozbójniczy w czole, nade brwiami
pycha.

Barki na dół pochylił, głowę na pierś zwi-
snął,

Zda się że ciężar hańby do ziemi go cisnął,
Albo że ręka gwałtu s piekiel go wywlekła,
I znowu radby gwałtem powracać do piekła.

Jeżeli jama, w której łotrowie mieszkali,
Chociaż ją ludzie skruszą lub piorun rozwali,
Dzikością swych położeń i krwawym ogro-
mem

W gruzach daje odgadnąć czyim była do-
mem;

Gdy węża po zrzuconej rozpoznasz skorupie,
Poznałbym Sicińskiego żywot po tym trupie.

O towarzysze! rzekłem, pociście nie zgo-
dni,

On był nie jednej winien, ale wszystkich
zbrodni;

Jego trucizną naród zdurzony oszalał,
On królom ręce związał, kraj kłeskami zalał! —

A pomyślałem w duszy — cóż są gminne
dzieje?

Popiół, w którym zaledwie iskra prawdy
tleje;

Hieroglif mchem zarosłe zdobiący kamienie;

Napis, którym spowite usnęło znaczenie;

Odgłos sławy wiejący przez lat oceany,

Odbity o wypadki, o kłamstwa złamany,

Godzien śmiechu uczonych: lecz nim się za-
śmieje,

Niechaj powie uczony, czém są wszystkie
dzieje? —

R. 1825. Odessa,

S E N

LORDA BYRONA.

Dwoiste życie nasze: sen ma świat udzielny
Śród otchłani nazwanych bytem i nice-
stwem:

Nazwanych, lecz nieznanych — sen ma świat
udzielny
Z rzetelną władzą rządząc nad marném kró-
lestwem.

Mary i życie biorą, i postaci noszą,
Roszczulają i dręczą, i łechcą rokoszą:
Tróskiienne ciężarem przywalają sennym,
I ujmują ciężaru naszym pracom dziennym.
One się do istoty naszej mogą wcielić
Zabrać połowę czasu i byt nasz podzielić.
Jak posłańce wieczności, błysną i przepadną,
Jako przeszłości duchy — często przyszłość
zgadną,

Jak wróżące Sybille — ciemność do ich ręki
Składa tyrańskie berło rokoszy i męki.
One gdy zechcą na to przerobić nas mogą
Czém nie byliśmy nigdy — one razą trwoga

Wywołując cień z grobów — więc mary są
cienie?

Przeszłość nie jestże cieniem? czemuż jest
marzenie?

Robotą duszy — dusza może wyprowadzić
Z nicstwa światy nowe i na nich osadzić
Doskonalsze od ziemskich kształty promieniste,
Wlać im duch trwalszy niżli w ciała rzeczy-
wiste.

Opowiem wam co mi się dawniej przywi-
działo:

Może we śnie — Bo kiedy sen uwięzi ciało,
Duch wolny może obiedz rozległą krainę,
I długie pasmo życia w jedną zwić godzinę.
Zdało mi się, że widział młodych ludzi
dwoje,

Chłopca i dziewczę: stali na wzgórkach oboje;
A wzgórek był zielony, pochyłej urody,
Niby jaki przylądek; tylko zamiast wody,
W koło żywy krajobraz i powiewna fala
Kłosów i sianozęci, i gdzie niegdzie z dala
Porozrzucane chaty — nad niemi dym bury
Ulotne snuł kolumny. Sam wierzchołek góry
Zdobily zasadzone drzew i kwiatów wieniec,
Nie przypadek je sadził, lecz umyślne ręce.

Chłopiec i dziewczka patrzą — ta na okolice
Piękne jak ona sama, a ten na dziewicę.
W nim rozwija się młodość w niej piękność
rozwita,

W obojgu młodość, ale młodość rozmaita. —
Jak wśród niebios jaśnieje wdzięczna twarz
księżycy,

Tak w pośród lat niewieścich jaśniała dziewica:
Chłopiec był laty młodszy, lecz starsze nad
lata

Serce jego; wzrok jego w całym kręgu świata
Jedynie tylko widział swęj kochanki lice,
I widział ją przed sobą, w niej utkwiał źre-
nice

I niemógł ich oderwać, nie było w nim ducha;
Ona była mu duchem; głosu jej drząc słucho,
Ona była mu głosem; on swych oczu niema,
Ona była mu okiem: bo ścigał oczyma
Jej spojrzenia, i wszystkie oglądał przedmioty
W świetle od niej odbitém; on niema istoty,
Niema życia: w nią przelał całe życie swoje:
W niej jako w oceanie wszystkie myśli
zdroje

Pograżył: za jej słówkiem, za ręki dotknięciem
Krew w nim ścina się lodem albo wrę pło-
mieniem.

Twarz jego na przemiany goreje i bladnie,
Serce boli i bólów przyczyny niezgadnie.
Lecz ona słodkich jego cierpień niepodziela,
Wzdycha; lecz nie do niego — ma w nim
przyjaciela,

Ma brata, i nic więcej! — on przestawał na
tém

Że ją zwał przyjaciółką, że go zwała bratem.
Teraz niechce przestawać. Skądże ta różnica?
Czas rozwiązał zagadkę — kochała dziewica,
I kochała innego; i właśnie w téj chwili,
Gdy oboje na górze stali i patrzyli,
Ona wzrokiem kochanka dalekiego nęci;
Zeby leciał tak bystro, jak lecą jój chęci.

Tu zaszła zmiana w scenach mojego wi-
dzenia.

Widać gmach starożytny, — stoi u przed-
sienia

Rumak z siodłem do drogi, — w gotyckiej
kaplicy,

U ołtarza był chłopiec — nie widać dziewicy.
Chłopiec blady, samotny, przechodził się, my-
ślił,

Usiadł, dobywa pióro, kilka słów nakryślił
I s pochyloną głową na rękę oparty,

Wstał znowu, wstrząsnął głową i pisane karty
Na części rozerwawszy w drżącej ciśnie dłoni,
I z gniewem w zębach szarpie; ale łez nie roni.
Uspokoił się nieco: zapalone lica
Ostygły i zmartwiały, — w tém wyszła dzie-
wica;

Z obojętnym uśmiechem spotyka młodziana,
Choć dostrzegła, że była od niego kochana,
Ze jej cień jako całun padł na jego duszę,
I zgadła, że on dla niej ma cierpieć katusze
Długie, straszne; — niezgadła, że miał cier-
pieć wiecznie.

Chłopiec wziął ją za rękę; obojętnie, grzecznie,
Spojrzał — i w téj mu chwili na zwierciadło lica
Wybiła niewymownych uczuć tajemnica,
I zagasła — i znowu czoło zaszło mrokiem:
Znowu puścił jej rękę i powolnym krokiem
Oddalił się w milczeniu, nieżegnał dziewicę,
Rosztali się z uśmiechem, — on wyszedł z kaplicy,
Raz jeszcze na ojczyste gmachy okiem rzucił,
Dosiadł konia, pojechał — i więcej niewrócił.

Tu zaszła zmiana w scenach mojego wi-
dzenia.

Chłopiec dorósł młodzieńca, — w obce po-
kolenia,

W dalekie zbłądził kraje, i pod wschodniem
słońcem

Poił duszę płomieniem, — on wiecznym był
goncem

Na lądzie i na morzu. Dokoła postaci

Podobne jemu krążą przyjaciół czy braci?

Tu mnóstwo scen okropnych snuło się od razu,

I ów chłopiec był częstką każdego obrazu.

Ujrzałem go na koniec; dziwacznie przebrany,

Gdzieś daleko, w obozie wschodniej karawany,

Śród połamanych kolumn, na gruzie pomni-
ków,

Co przeżyły imiona swych budowników,

Leżał; a przy nim wielbłąd żuł resztę obroku,

Kilka arabskich koni pasło się u stoku.

Podróżni, których znużył upał całodzienny,

Drzémal w cieniu ruin — on jeden bezsenny

Na ręku wsparty, oczy na północ obrócił,

S twarzą natchnienia pełną — rozmyślał, czy
nócił?

Niebo czyste tak wszystkie chmury zdjęło
z siebie,

Że ledwie co niewidać Pana Boga w niebie.—

Tu zaszła zmiana w scenach mojego wi-
dzenia.

Dziewica z oblubieńcem pierścionki zamienia.
On ją pojął, mnogiemi osypał dostatki,
Widzę ją w cudzym domu, słyszę inie matki,
Otaczają małżonkę wesołe plemiona,
Nadobne syny, córki, — ale za cóż ona
Jakaś tęsknoty chmurą wdzięczną postać mroczy,
Zdradzając tajną boleść, co jój serce toczy?
Żrenice niegdyś jasne zamglila powłoka,
Niby jakaś łza dawna przystygła do oka.
Skądże to? — wszak s kochankiem złączona
na wieki,
Wszakże ten, co ją kochał jest od niej daleki,
Nie będzie myśli czystych złém życzeniem
brudzić,
Nie będzie jój westchnieniem nieumyślném
nudzić.
Czegoż smutna? wszak darmo wzajemności
żądał,
Darmo w jój oczach zimnych nadziei wy-
glądał.
Wzgardzony nie jest pewnie sprawcą jój ka-
tuszy,
Jest widmem dla pamięci, nie sępem dla duszy.
Tu zaszła zmiana w scenach mojego wi-
dzenia.

Młodzieniec znowu szuka domowego cienia,
Widzę go przed ołtarzem, z nim oblubienica
Młoda, wdzięcznej postawy, nadobnego lica:
Lecz nie była to owa najpierwsza kochanka,
Owa gwiazda błogiego młodych lat poranka.
Musiał o niej zapomnieć, — stoi zadumany,
Rospatruje kościelne sklepienia i ściany —
Zadrżał i w tej mu chwili na zwierciadło lica
Wybiła niewymownych uczuć tajemnica,
I zagasła — i znowu czoło zaszło mrokiem.
Pogląda na swą żonę, ale błędnym wzrokiem,
Powtarza jej przysięgi, których nierozumie:
S kim jest, gdzie jest, zapomniał, w sprze-
cznych myśli tłumie.

Widzi tylko swą młodość, stary gmach, ka-
plicę,

I listek poszarpany i swoją dziewicę.
Te przypomnienia kirem śmiertelnej zasłony
Oddzieliły na wieki młodzieńca od żony; —
Po cóż w takiej godzinie takie przypomnienia?

Tu zaszła zmiana w scenach mojego wi-
dzenia.

Widzę dawną dziewicę, jakie w niej od-
miany!

Ona w suchotach duszy: jej rozum znękany

Opuścił stér myślenia, wzrok jój dziko lata,
Blask co świeci w jój oku nie jest s tego
świata,

Ona jest jak królowa nad państwami marzeń;
Jój myśl stała się węzłem sprzecznych wyo-
brażeń;

Kształty niedotykalne zmysłom śmiertelnika,
I niewidzialne, ona dostrzega, dotyka,
I w poufałej wzywa do siebie rozmowie:
Taką chorobę wiek nasz obłąkaniem zowie.
Lecz nieraz mędrzec głębiej w obłąkanie
wpada,

Jeśli melancholii smutny dar posiada;
Bo wzrok melancholijny jak teleskop sięga,
Dalekie widma zbliża, rozłączone sprzęga,
I urok życia chłodną rozdarłszy uwagą,
Roskrywa rzeczywistość wystygłą i nagą. —

Tu zaszła zmiana w scenach mojego wi-
dzenia.

Młodzieniec był pielgrzymem, jak widać
z odzienia,
Kształty przy nim krążące znikły z senną
marą,
Lub, oję z nim toczyły; — on stał się
ofiara

Nienawiści swych wrogów, zewsząd zguby
bliski

Postrzega sidła zdrady lub zemsty pociski.

Stoły jego zgryzota jak harpija plami,

On jak dawny Mitrydat karmił się jadami;

A trucizna nie była szkodliwą dla niego,

I służyła mu na kształt chleba powszedniego.

Co innym śmiercią było, tém życie przewlekał;

Zbrzydził społeczność ludzką, w pustynie
uciekał:

Zył w przyjaźni z górami, myślą do gwiazd lata:

Wdał się w rozmowę z wielkim jeniusem
świata.

Wzbogaconemu nauk czarodziejskich zbiorem,

Tajemna księga nocy stała otworem.

Jego klątwą wyzwane z głębokości ziemi

Duchy go otoczyły — i został się z niemi.

Niéma więcj zmian w scenach mojego wi-
dzenia.

Zbudziłem się. — Jak dziwne wyroków
zrządzenia!

Mój sen dla dwojga ludzi, smutny koniec
znaczy,

Jednemu w obląkaniu, obojgu w rozpacz. —

r. 1824. Wilno.

SZANFARY.

KASYDA Z ARABSKIEGO.

Szanfary jeden z najślawniejszych przed Moham-
medem rycerzy czyli farysów arabskich, wojownik
i poeta, był s pokolenia Asd. Obrażony przez
rycerzy s pokolenia Salaman, wzywał swoich aby
mu dopomogli zemścić się krzywdy. — Nieotrzy-
mawszy wsparcia, Szanfary opuścił swe pokolenie
i napisał niniejszą kasydę (powieść) wyrzucając
rodakom ich zniewieściałość i niewdzięczność.
Udał się sam na wojnę i poprzysiągł póty niezło-
żyć oręza, póki niezabije stu farysów s pokolenia
Salaman. Już był ich zabił 99, gdy wpadłszy
w zasadzkę Salamanów sam zginął. Głowa jego
walala się w koczowisku i gdy jeden s farysów
tracił ją nogą, tak mocno skaleczył się o kość
czaszki, że wkrótce życie utracił i dopełnił liczby
stu zaprzysiężonej przez Szanfarego. —

Tę kasydę tłómaczyłem s francuskiego, prze-
kładu P. de Sacy. Później miałem sobie udzielone
od P. Sękowskiego tłómaczenie polskie dosłowne
z obszernym uczonym komentarzem. Korzystając
s téj nowéj pomocy, starałem się text mego prze-
kładu, ile możności poprawić. S komentarza P.
Sękowskiego umieszczam kilka przypisów,
oświadczając uczonemu mężowi wdzięczność za
jego przysługę.

Bracia moi! postawcie wielbłądy na nogi ¹⁾),
Dzisiaj Szanfary od was jedzie między wrogi.
Gotowe juki rzemień do garbów przycisnął:
Dalej w drogę, noc ciepła i księżyc zabły-
snął.

Dalej — jeśli przed skwarem na ziemi są
cienie,
Dla mężnego przed hanbą znajdzie się schro-
nienie;

I niebędzie mu ciasno, jeśli przy rozumie
Gonić roszkasz a zgubie wymykać się umie.
Znajdę ja druchów, których przyjaźń więcej
warta;

Znajdę płowego wilka i pstrego lamparta,
Hyenę zdobycz kroki pędzącą chromemi,
To moi przyjaciele, — niemasz między nimi
Półgłówka, co mu tajnia w ustach niedoleży,
Co brata bładzącego s szyderstwem odbieży.
U nich na krzywdę zemsta, na gwałt moc
gwałtowna.

1) W oryg: podnieście piersi wielbłądów. Wiel-
błądy kładą się na ziemi, zginając pod siebie nogi.
Kiedy karawana ma ruszyć, człowiek siada na
siodło, i ciągnąc wodze podnosi wielbłąda.

Waleczni, ale w męstwie żaden mi nie zrówna.
Nieprzyjaciółom pierwszy ja skaczę do oczu,
A gdy przyjdzie łup dzielić, stoję na uboczu.
W dziale łupów łakomstwo chyżością zwy-
cieża,

Ja czynię obyczajem dostatniego męża;
Nikt wielkością umysłu niezdola mi sprostać,
A kto czuje swą wyższość godzien przy niej
zostać.

Porzucam was i tęsknić nie będę za wami,
Których nieprzyciągnąłem dobrodziejstw wię-
zami,

I do których nie lgnęło nigdy serce moje.
Dosyć mam towarzystwa gdy zostało troje:
Serce waleczne, szabla, s której ognie biją,
I łuk żółty wielbłądzią krzywiący się szyją;
Przy którym pas bogaty, sutą frędzla pływa,
Majdan gładko ciosany i tęga cięciwa,
Co tak żałośnie jęczy gdy z niej grot wyleci,
Jako matka wydarte ścigająca dzieci.

Jam nie sługa pragnienia co się w noc zaczaja,
I odstraszywszy żrzebce sam kłacze wydaje.
Jam nie tchórz, ni za dziewic ogonem włó-
częga,

Co w każdej drobnej sprawie rady ich zasięga.

na. Nie strusie serce moje, choć strach zakołata,
Nierównym pędem w piersiach jak wróbel nie
lata.

zu. Kto mię widział od rana do nocy śród ga-
ry- chów,

Brew malować ²⁾, włos trefić w kąpiel zapa-
chów.

ie. Czy mię kiedy noc zbłąka ³⁾, choć piaszczysta
fała

Tumanami okręci i żwirem zawala.

ni, Lecę na mej wielbłądce, wrą u nóg ukropy,
ę- Krzemienie, iskry sypiąc, pryskają s pod
stopy.

O głodzie choć najdłuższym, w wielkomyślniej
dunie

Nigdy wspomnieć nieraczę, i tak go zatłu-
mię.

Karmię się prochem ziemi, a głód nadaremnie
Pasując się wyznaje, że słabszy odemnie.

2) Arabowie nacierają powieki pewną farbą bruna-
tną, zwaną kohl, co u nich za wielką poczytują
ozdobę.

3) W pustyni kierują się podróżni po gwiazdach.
Beduini kładą w rzędzie celnych przymiotów ry-
cerza, trafność jechania w dzień i w nocy.

Gdybym został w obozie, gdzież więcéj na-
pitków,
Wiécéj jadła niż u mnie do potrzeb i zbytków?
Ale mam duszę gorzką co się z hańbą kłóci,
I jeśli was nie rzucę, dusza mię porzuci.
Teraz pragnienie skręca wnętrzności w mém
łonie,
Jak nié różnie targaną na prządki wrzecionie.

Zrana wybiegam na czczo podobny wilkowi
Co wygłodniały lasa i wiatr paszczą łowi,
I s pustyni w pustynie, w wąwozów rękawy
Przeciska się włóczęgą czatujący strawy;
A gdy na długich czatach darmo się utrudzi
Wyje, wtórują wyciem towarzysze chudzi.
Jako z łonem niepełném wschodni księżyc
cienki,
Tak zapadłe ich boki, wychudłe paszczęki.
Zęby dzwonią jak strzały we wróżka pra-
wicy ⁴⁾,
Albo jak roje pszczelne gdy w koło rodzicy
Szumiącą polatują na pagórek rzeszą,

4) Dawni Arabowie poganie mieli w świątyni mę-
kańskiej strzały wyroczne zalum, s których roz-
maitego mieszania wrócono o przyszłości.

Gdzie drabinki bartnika gronami obwieszają.
Paszcza ich wychudzona, ponura i gniewna,
Gardziel rozdarta naksztalt roskłótego drewna.
Zawył; i oni wyją, biegnąc na pagórki,
Jak płaczące farysa małżonki lub córki ⁵⁾,
Umilknął; oni milczą. Wycie mu ulżyło,
I dla nich słyszeć równie wyjącego miło.
Zda się że spółność głodu wnętrzości uciszy
Znowu skarży się, znowu skarżących się
słyszy.

Umilkł w końcu, umilkła wrzaskliwa gromada.
Lepiej w milczeniu cierpieć, gdy wrzask nie
nie nada. —

Jeśli do studni jadę lecący półk strusi ⁶⁾
Daremnie grzmi skrzydłami, męty spijać musi.

5) Kiedy Arab zginie na wojnie, żony jego i kre-
wne wychodzą na bliskie wzgórze, płaczą, jęczą,
i, wrzaskliwie narzekając, zaklinają jeźdźców swe-
go pokolenia, ażeby zemścili się jego zgonu.

6) W oryginale jest tu mowa nie o strusiach, ale
o ptastwie zwaném katho, wielkości kruka.
W poezyi arabskiej często znajdujemy wzmiankę
o tém ptastwie przelatującym stadami pustynie
Arabii. Farys powinien znać położenie źródeł
w pustyni, ażeby wiedział gdzie ma popasać.

Nie zgonił méj wielbłądki bystry ich wódz stada,
Ja dojeżdżam, spragniona zostaje gromada.
Jużem odjechał — Płastwo runęło na męty,
Wola ich rościagnione, dziób ku studni zgięty
Jest posłem dobrych wieści, wre ciżba hałasem
Jak obóz karawany siedzącej popasem.
Znowu śmignęły w górę, znowu w studnie
wpadły:

Scisnęły się nakoniec i zręby obsiadły:
I ryczałem wypiwszy, rozwinęły loty,
Jak runące z oazy beduinow roty.

Ziemia twarda mnie družka, nieraz do jej łona
Tuliłem kark mój suchy i chude ramiona,
Których stawy sterczące tak policzyć snadno
Jak kostki co z rąk gracza na ławę wypadną.

Jeżeli wojna tęskni za Szanfarym sługą,
Toć Szanfary jój służył i wiernie i długo.
Dziś nieszczęście w mą duszę jak w piłkę za-
grało,
Boleści podzieliły losem moje ciało ⁷⁾.

7) Przenośnia wzięta ze zwyczajów Arabów, którzy
zabiwszy wielbłąda, losem ciągną jaka część komu
się dostanie.

Każda bięda najpierwój na mój kark się wsiuwa,
Kiedy zasypiam bięda u głów moich czuwa,
I wytrzeszczywszy oczy patrzy skąd ugodzić.
Troski kolejają febry zwykły do mnie chodźć
Ale od febry gorzej niedają pokoju,
Lecą do mnie jak ptaki spragnione do zdroju,
Sto razy je odpędzisz i setnemi chmury
Znowu uderzą z boku i z dołu i z góry.

Wście jak w upał boso lecę przez pustynie,
Podobny córce piasku błyszczącój gadzinie.
Choć miękko wychowany i s przodków bogaty,
Alem syn cierpliwości, włożyłem jój szaty
Na pierś, w której hyeny przemieszkiwa śmia-
łość:

Za obuwie na nogi włożyłem wytrwałość.
Na stepach bez namiotu, w skwary bez po-
krycia,

Jam wesół i bogaty; bo nieszczędzę życia.
W dniach szczęścia dostatkami niebyłem odęty,
Głupie lenistwo dla mnie nie miało ponęty.
Czyli z nadstawnym uchem za plotkami latał?
Czyli na cudzą sławę potwarze wymiatał?

Pamiętacie noc klęski! tę noc nie pogodną,
Noc tak straszliwie ciemną, tak okropnie chłodną,

Że Arab grzał się pałac własny łuk i groty.
Ja wybiegłem na boje wśród mroku i słoty;
Przewodniczką mi była błyskawic pożoga,
Towarzyszami piorun, okropność, i trwoga.
Osierociłem dzieci, owdowiłem żony,
Wróciłem jakem wyszedł nocą otoczony.
Nazajutrz, gdym spokojnie w Gumaiza leżał,
Mówiono o mnie w stepach, którem w noc
przebieżał.

Zeszła się nieprzyjaciół dwoista gromada,
Jedna z nich zapytuje, druga odpowiada.
Słyszano, mówią, wczora nocne psów war-
czenie,

Zdało się, że wilk przebiegł, lub hyeny
szczenie,

Albo ptak przebudzony skrzydłami gdzie mu-
snał;

Bo pies zawarczał tylko, i po chwili usnął.
Może to Diw ⁸⁾ przechodząc tyle szkody
zrobił?

Może człowiek? nie, człowiek tyluby nie-
pobił.

8) Duch, geniusz. Wyraz polski dziw, zdaniem
P. Sekowskiego, pochodzi z perskiego i musiał
dawniej też samo mieć znaczenie.

Ja w dzień gdy niebo wrzało ogniami le-
tniemi,
Tak że zmije od skwaru skakały po ziemi,
W dziurawym płaszczu padłem na żwiry ki-
piące,
I zdjawszy turban głową wyzywałem słońce,
A włos mój brudu pełny⁹⁾, nieznający woni,
Kołtunami przylegał do niemytėj skroni.

Łono pustyni, co się bez końca rozszerza,
Tak twarde i tak nagie jako grzbiet puklerza,
Nieraz całe bosemi przemierzyłem stopy;
Gdy ujrzałem nad głową skał podniebne
stropy,
Na klęczkach pnąc się, jak pies, wlażłem im
na czoło.

Tam dzikie antelopy biegały w około,
Białonogie i wełną odziane bogatą,
Jak nadobne dziewice wlekącą się szatą.
I w oczy mi bez trwogi patrzyła gromada;

9) Szanfary przysiągł zemścić się na pokoleniu Sa-
łaman. Arab po takiej przysiędze nie umywa się,
nie strzyże i nie zaczesywa włosów, nie zmienia
odzieży i nie pije wina dopóki zemście zadosyć
nie uczyni.

Bo myślały że jestem kozieł ¹⁰⁾ wódz ich
stada,
Co mu rogi w tak długie piątrzą się ramiona,
Ze, wznosząc łeb, rogami dostaje ogona,
Albo niemi do skały przyczepia się szczytu,
I wisi jako ptaszek w otchłani błękitu. —

10) W oryginale: „myślały że jestem z rodu kozłów.“ Tu następuje ich opisanie. Mowa tu zapewne o gatunku kóz dzikich, Antilope rupicapra, Chamois.

DO DOKTORA S.

PRZEDSIĘBIORĄCEGO PODRÓŻ NAUKOWĄ DO AZYI
W PRZEDMIOCIE HISTORYI NATURALNÉJ.

Kapłanie Eskulapa! w pogaństwo zagnany
Szerząc cześć twego bóstwa między Azyjany,
Gdy cudzoziemcom zdrowie niesiesz w upo-
minek,

Porzucasz chorujące serduszka Litwinek.

Sam nie umrzesz s tęsknoty; bo i w obcém
niebie,

W wodach, w ziemiach, znajomi powitają
ciebie.

Spojrzyj na tłum, co wietrzne kraje rozwesela:
Jak król najdrobniejszego znasz obywatela.

Wiesz, swojska-li ptaszyna, czy ziem dzikich
córa,

Ile wiosen przelata, i gdzie złoży pióra.

Morze straszące samym widokiem swych
głębi

Badawczego zapалу w tobie nie wyziębi.

Znijdziesz pod zwierciadlaną rozeznawać tonią
Roślinki hodowane Amfitryty dłonią,
Których postać znikoma jak sennie marzenia,
I kolory zmienniejsze od tęczy promienia.
Tam jest gwiazda co tylko dnom podmorskim
świta ¹⁾,
I latarnia przy której dumał Stagiryta ²⁾,
I łódź wiosłem żyjącem morskie tnąca szyby,
I pałasze ³⁾ ktoremi walczą wieloryby.

Godna zazdrości podróż; ale tam pielgrzymia
Zewsząd śmierć liczna, łatwa, i niesławna
ima.

Dalszych rybiego państwa nie badajmy ciemnic.
Dosyć jest dla rozumu lądowych tajemnic.
Za twém skinieniem, władco cudotwornej laski,
Trysną źródłem uauki astrachańskie piaski,
Każemy pękać górom, znidziem w ich cie-
mnotę,

Zwazać w kuźni natury klejnotów robotę.
Ja bogactw nie łakomy, cenię wynalaski

1) Gwiazda morska, rodzaj molusków.

2) Latarnia stagiryty Arystotelesa, gatunek muszli.

3) Pałasz morski, ryba.

W których wielkie pamiątki, choć pomniejsze
blaski.

Odszedłbym od brylanty rodzącego szysztu
Do geodów zamkniętych na klucz z ametystu.

Wiesz ich początek? między edeńskimi
drzewy,

Kiedy nasz ojciec pierwszy raz westchnął do
Ewy,

Ziemia to pierworodne miłości westchnienie

Złowiła i w kosztowne zawarła kamienie.

Te prawdy po hebrajsku zapisane w skałę⁴⁾

W tajnych archiwach ziemi leżą skamieniałe.

Od Humboldta weź klucze na te alfabety,

I stań się biografem naszego planety.

Niech cię nie trwoży zmudne latopismo
świata,

Z warst ziemi, jak ze zmarszczków policzysz
jój lata.

A gdzie w czasach i czynach zdarzy się za-
gadka,

Poradzisz się mamuta naocznego świadka:

Zbudzisz na skamieniałym uśpionego cedrze,

4) Skała hebrajska, tak nazwana od czarajch
rysów podobnych do liter hebrajskich.

W imie Bojana ⁵⁾ wstanie, i paszczę rozedrze.
Ze snów czterdziestowiecznych ten przeszłości
goniec

Przetrze oczy, obwieści swój żywot i koniec.
Wieść nowa jako cudo, a jako świat stara,
Prawdziwa jak rachunek, i dziwna jak mara.

Zegnam cię! idź, w przeszłości załóż twe
dziedzictwa,

Przypomnij matce ziemi czasy jej dziewictwa.
Mnie poetę już zamiar opanował nowy,
Ja o przyszłości z niebem wdałem się w rozmowy,
Astrologiczném okiem wyczytałem z gwiazdy
I bliski i radosny koniec naszej jazdy.

Znowu czoło s podróżnych orzeźwiwszy znojów,
W stary tokaj niemeńskich przymiesza my
zdrojów.

Tego królem badaczów ogłosi biesiada,
Czyje oko najpierwój dno kielicha zbada.
Gdy wszystkich nieprzyjaciół rozumu i cnoty,
Pomiędzy zaginione wliczymy istoty,
I będziem o rozjeździe, co nas dziś rozżali,
Jak o przedpotopowych dziejach wspominali.

5) Bojanus sławny niegdyś nauczyciel anatomii po-
równawczój w uniwersytecie wileńskim.

U G O L I N O.

WYJĄTEK Z BOSKIEJ KOMEDYI.

Dante z Wirgiliuszem sstępują do piekła. Przeszedłszy jego różne oddziały, i przypatrzwszy się rozmaitym karom, spotykają Ugolina; ten zapytany od Dantego opowiada mu jak był z dziećmi głodem zamorzony.

S PIEŚNI III.

*Przeze mnie droga w miasto utrapienia;
Przeze mnie droga w wiekuiste męki;
Przeze mnie droga w naród zatracenia,
Jam dzieło wielkiej, sprawiedliwej ręki.
Wzniosta mię z gruntu potęga wszechwładna,
Mądrość najwyższa, miłość pierworodna,
Kto wchodzi do mnie, żegná się z nadzieją.
Te słowa ryte na bramie czernieją,
Ich treść, o! Mistrzu, jest dla mnie tajemną!
On głosem zwykłym świadomej osobie:
Tu, rzecze, z marnych wyzuj się przestrachów,*

Wszystko, co podle, niechaj zamrze w tobie;
Spuścić się mamy do wieczności gmachów,
I napotkamy tłuny niezliczone
Wiekuistego światła pozbawione.

Rzekł, przyjacielską rękę mi podaje,
Dobroliwemi zachęca uśmiechy,
Uczułem w sercu wzruszenie pociechy,
I wszedłem śmiało w tajemnicze kraje.
Stamtąd wzdychania, żale, i okrzyki,
Szumią wśród nocy bez gwiazd i księżyca:
Słucham, i łzami nabiegła żrenica.
Okropny hałas, tysiączne języki:
Wybuchy gniewu, szlochania boleści,
I wycie mężów i lament niewieści!
Zgiełk przeraźliwy tak rozlicznych wrzasków
To wre na przemian, to się społem zetrze,
Jako tumany afrykańskich piasków,
Kiedy się zerwą i zmacą powietrze.

* PIEŚNI XXXII koniec.

Gdy z miejsc okropnych szukamy przechodu,
Dwóch potępieńców ujrzałem w parowie,
Wyższy niższemu głową legł na głowie;
A jak łakomie szarpiemy chleb z głodu,

ie; Tak on zatopił kły w ciało sąsiada
Tam, kędy czaszka do barków przypada.
Nie s takim gniewem Tydej zemstą ślepy
Menalipowej głowy gryzł czerepy,
Jak on swą zdobycz żuje i wysysa.
Człowieku, rzekłem, co paszczą tygrysa
Mścisz się nad wroga nienawistną głową,
Powiedz mi jakie masz zemsty powody,
A ja ci moją odpłacę wymową
Kiedys pomiędzy ziemskimi narody,
Jeśli mię Pan Bóg żywcem stąd wydzwignie,
A język w ustach moich nie zastygnie.

PIEŚŃ XXXIII.

w Od strawy dzikiej oderwał paszczkę
Ów potępieniec, i krew z ust ocierał
Włosami czaszki, której mózg pożerał,
I mówi: „Srogie chcesz odnawiać męki,
Serce mi pęka, nim usta otwieram.
Lecz gdy ze słów mych, jak z nasion, dojrzeje
Hańba dla zdrajcy którego pożeram,
Słuchaj, wypowiem, wypłaczę me dzieje.
Nie wiem kto jesteś, przez jaki cud nowy
Zaszedłeś do nas, lecz po dźwięku mowy
Poznaję w tobie Włocha, Florentina,

Widzisz przed sobą hrabię Ugolina:
A ten co teraz jest mój zemsty łupem
Zwał się Rudziery, był arcybiskupem.
Jak mię w zdradzieckie usidlono słowa,
Jak nie ostrożnie wpadłem w jego ręce,
Nie warto mówić; bo rzecz nie jest nowa.
Lecz o mym zgonie, o mój strasznój męce,
Jeśli nikt wieścią uszu twych nie skaził,
Słuchaj i osądź, czy on mnie obraził?

Jest w głębi wieży podziemna pieczara,
Sławna mym zgonem; dziś może w niej jęczy
Na nowo jaka niewinna ofiara.
Tam oknem witę z żelaznych obręczy
Widziałem mnogich księżyców oblicze,
Aż mnie raz we śnie przywidziana mara
Zdarła przyszłości chmury tajemnicze.
Przyśniło mi się, że biskup zawzięty,
Polował wilka z małemi wilczęty,
Na owęj górze, co wzniosłemi szranki
S pizańską ziemią i Luką graniczy.
Już chuda psiarnię zemkniono ze smyczy,
Hrabia Gwalandi, Sismondi, Lafranki
Szczują na czele, zdobycz będzie łatwa:
Już wilk znużone zatrzymuje kroki,
Upada wreszcie i ojciec i dziatwa;

I widzę kłami rospróte ich boki.
Budzę się! jeszcze noc nie zeszła z nieba,
Już moje dziatki współniki niewoli,
Szlochają przez sen i wołają: chleba!
O jeśli dotąd serce cię nie boli,
Kiedy pomyślisz co się we mnie działo,
I co me serce nadal przeczuwało,
Jeśli nie płaczesz, któż ci łzy wycisnie?
Budzą się dzieci, wkrótce chwila błysnie
W której nam zwykle udzielano strawy;
Lecz na sen pomnąc truchlałem z obawy.
W tém z bram więzienia łoskot mię doleci —
Zamurowano! — spojrzałem na dzieci,
Spojrzałem z nieméj wyrazem rozpaczny;
A w głębi serca czułem mróz, jak w grobie.
Gwido mój mały wołał: co to znaczy,
Tak dziko patrzysz? ojciec mój, co tobie?
Nie mogłem mówić ni łzy z oczu dostać:
Milczałem — długo — aż do nocy końca.
Nazajutrz do nas zbłądził promyk słońca,
I w twarzach dzieci ujrzałem mą postać:
Natenczas z bolu gryzłem obie ręce.
Synowie myśląc, że mię głód tak pali,
Łamiąc rączęta ze łzami wołali:
Ojciec kochany, ulżyj twojej męce,
Zjedz twoje dzieci, tyś nas ubrał w ciało:
Tobie nas biednych rozebrać przystało.

Musiałem milczeć i ból w sobie morzyć,
Wkrótce i mowa w ustach nam zamarła!
Jęczyć nieśmiałem, by dzieci nie trwożyć.
O! ziemio, czemuś ty nas nie pożarła!
Weszło czwartego dnia światło zabójcze:
Anzelmek mały przywlekl się pod nogi,
I rościagniony wołał, ojczy drogi!
Ach czemu ty nas nie ratujesz, ojczy?
Wołał i skonał! — jak mnie tu widzicie,
Tak ja widziałem wszystkie dzieci moje,
Jedno po drugim, — wszystkich było troje:
Wszystkie u nóg mych zakończyły życie.
Od zwłok jednego do drugiego biegłem,
Ślepy na trupach potknąwszy się ległem.
Dzień jeszcze siódmy do słońca zachodu,
Krzyczałem z żalu, a na koniec — z głodu;
Bo głód był jeszcze sroższy od żałości.“

Skończył, i dziko wywróciwszy oczy,
Na nowo usta w krwawą czaszkę broczy,
I jak pies, zębem zgrzytając, rwie kości.

C I E M N O Ś Ć

Z BYRONA.

Miałem dziwny sen, może i nie całkiem
senny.

Zdało mi się, że nagle zagasnął blask dzienny,
A gwiazdy w nieskończoność biorąc lot nie-
zwykły,

Zbłąkawszy się, olsnąwszy, uciekły i znikły
Bez nadziei powrotu. Ziemia lodowata

Wisiąca ślepa pośród zaćmionego świata.

Ranki weszły, minęły, ale dnia niebyło —

I wszystkie namiętności zatłumiła trwoga.

Serce rodu ludzkiego jedną żądzą biło,

Gały ród ludzki prosił o jedno u Boga, —

O światło — Wszystko płonie, i wspaniałe
gmachy

Panów koronowanych, i wieśniacze dachy.

Domy świata całego jako lampy płoną,

Miasta na kształt ogromnych stósów zapalone,

I tłum ludzi do koła pożaru się tłoczy,

Chcąc jeszcze raz ostatni zająrzeć sobie w oczy.
O jak zazdrości godni ci, co się przywlekli,
Przed oblicze ognistej Etny albo Hekli!
Jak błogosławią wieczne wulkanów pożogi,
Wszyscy z jednem uczuciem nadziei i trwogi.
Rzucono ogień w puszcze; i doczesnym bla-
skiem

Puszcze gorą, ciemnieją i wałą się s trza-
skiem;

Zaryły się w popiele drzew strawione czoła,
I zagasły na wieki — znowu noc dokoła.
I twarz ludzi z rozpacz nie po ludzku błyska,
Odbijając ostatnie promyki ogniska.
Jedni padli i, oczy schowawszy, łzy leją,
Drudzy na chudych łokciach podparłszy się
śmieją.

Ten biega tu i ówdzie, suche żagwie zbiera,
Karmi niknącą iskrę i w niebo poзира —
Nieporuszone widzi czarnych chmur zasłony,
Jak kir nad nieboszczykiem światem rością-
gniony —

Znowu pada i bluźni i w piasku się ryje:
Targa włos, zgrzyta zębem, ręce gryzie, wyje,
Dzikie ptastwo strwożone, skrzydły obwisłemi
Mocując się daremnie, czołga się po ziemi.
Drapieżny zwierz co w lasach i pustyniach żyje,

Jak swojski ciągnie w miasto. Gadziny i
zmije

Pełną ludziom pod nogi i żądlami syczą:
Nie kaleczą — i głodnym stają się zdobywcą.
Wojna nieco ustała, wybuchnęła znowu,
Głodni żelazem sobie szukali obłowu,
I z zakrwawionym kąskiem na stronie usiedli,
I w milczeniu rospaczy samotni go jedli.
Nie została miłości iskra w ludzkiem łonie,
Jedna była na całej ziemi myśl — o zgonie
Niechybnym i niesławnym — ząb głodu pożerał
Wszystkich — i narodami świat cały wymierał.
Nikt niemyślał o kości i o ciał pogrzebie:
Chudy karmił się jedząc chudsze od siebie.
Psy darły swoich panów. Jeden pies zachował

Wierność panu swojemu; żywego pilnował,
Teraz się umarłego wyżywieniem trudzi,
Znosi zdechłe lub słabe bydło, ptastwo, ludzi:
Sam niedotknął pokarmu, z żalosnemi jęki
Lizał twarz pana swego, głaskał się u ręki
Co go już nie głaskała — i zdechł — i nareszcie
Wszyscy ludzie wymarli — W pewnym lud-
dnym mieście

Zostali dwaj ostatni — dwaj nieprzyjaciele.
Zeszli się przy ołtarzu, gdzie jeszcze w popiele

Dogasało ognisko, i kościelne sprzęty
Święte czekały w stósach na ogień nieświęty.
Jak skielety chudemi rękami pospołu
Grzebiąc, dostali kilka iskierek s popiołu,
I pracując piersiami słabemi, ognisko
Wydobyli na chwilę — jak na pośmiewisko.
Zwrócili oczy gdzie się płomień żywiej pali,
Ujrzeni się, wzdrygnęli, padli i skonali:
Zgrozą widoku swego zabili się społem,
Nie poznali się s twarzy, lecz głód nad ich czołem
Wyrył: *nieprzyjaciele*. Świat cały był stepem,
Z ludnego i pięknego, milczącym i ślepym,
Bez pór roku, bez roślin, bez ludzi, bez czucia,
Trup, chaos powolnego żywiołów zepsucia.
Stoją gładkie rzék, jezior, oceanu tonie,
I nic się nieporuszy w ich milczącym łonie.
Okręty bez żeglarzów pośród morza tkwiły,
Maszty ich kawałami padały i gniły,
I tonęły na wieki w spokojnych wód bryle:
Burze usnęły, fale spoczęły w mogile;
Bo niebyło księżycy coby je podźwignął.
Wicher w stęchlém powietrzu uwiązł i zastygął.
Znikły chmury — to dawne ciemności narzędzie
Stało się nie potrzebném — ciemność była
wszędzie.

PODRÓŻNY.

z GETEGO, *Wanderer.*

PODRÓŻNY.

Niewiasto młoda, bądź błogosławiona!

I niech Pan Bóg błogosławi
Niemowlątku, co się bawi
U twego łona.

Pozwól mi na tym zrębie opoki

Złożyć z siebie
Podróżne tłómoki,
I odpocząć blisko ciebie.

NIEWIASTA.

Gościu! jakie was rzemiosło

W takim lata upale,
Po téj piaszczystej skale,
Aż w nasze strony zaniósło?

Może wy kupcem jesteście,
I s towarami nabranemi w mieście
Zwiedzacie sielan mieszkania.
Gościu! ty z mego śmiejesz się pytania?

PODRÓŻNY.

Towarów niemam. Idę w bliskie miasto.
Już wieczór dzienną ochłodził pogodę.
Pokaż mi, śliczna niewiasto,
Krynice, skąd pijesz wodę.

NIEWIASTA.

Tam kędy skały wyżyna,
Idź dalej — a ta drożyna
Wiedzie do świetlicy
Gdzie mieszkamy,
Do krynicy
Skąd wodę mamy.

PODRÓŻNY.

Widzę przemysłnej ręki ludzkiej ślady
Pośród zarośli cienia:
Bo nie mogła skał związać w tak porządne
składy,
Rozrzutna dłoń przyrodzenia.

NIEWIASTA.

Daléj, wyżéj —

PODRÓŻNY.

Mchu powłoka

Okryła sklepienia łuki;

Poznaję ciebie twórczy duchu sztuki,

Twą pieczęć nosi opoka.

NIEWIASTA.

Daléj, pielgrzymie —

PODRÓŻNY.

Tu depcę napisy.

Daremnie czytać! zatarły się rysy,

Któremi twórca téj arcy-sztuki

Chciał swą pobożność wsławić pomiędzy
prawnuki.

NIEWIASTA.

Pielgrzymie! ciebie zadziwia

To na kamieniach rosnące ziele?

Tam wyżéj, gdzie się droga zakrzywia,

Jest przy méj chacie kamieni wiele.

PODRÓŻNY.

Wyżej?

NIEWIASTA.

Zaraz na lewo!

Gdzie śród krzaków wyższe drzewo!
Tu!

PODRÓŻNY.

O Gracye! o Muzy!

NIEWIASTA.

Widzisz naszą gospodę.

PODRÓŻNY,

Świątyni gruzy!

NIEWIASTA.

Niżej na boku

Słyszysz szum potoku,
Stamtąd czerpiemy wodę.

PODRÓŻNY.

Dotąd w całej życia sile,
Rostaczasz skrzydła na twój mogile

O! geniuszu dzielny:
Chociaż twoje arcydzieło
W około ciebie runęło,
Tyś nieśmiertelny!

NIEWIASTA.

Zaczekaj, zaraz z gospody
Przyniosę kubek do wody.

PODRÓŻNY.

Powiewna bluszczu szata
Boskie kształty oplata!
Ze stosu gruzów jakby z rozłamanej trumny,
Jeszcze ku niebu dążycie spolem

Dwie bliźnie kolumny.

Tam siostra wasza sama stoi między groby:
Posepny mech nad waszém wywinął się czołem.
Patrzycie z uroczystej wyrazem żałoby,

Na szanowne postaci

Waszych sióstr i waszych braci,

Zwalone pod nogi,

White do ziemi

Między ciernie, między głogi!

Wysnuła trawa powiewa nad niemi.

O niewdzięczne przyrodzenie!

W takiéjże u ciebie cenie

Arcydziel twych arcydzieło.
Nieczule łamiesz własne świątynie,
I siejesz na ich ruinie
Głogi!

NIEWIASTA.

Jak moje dziecię usnęło!
Gościu, czy zechcesz u nas w komorze
Odpocząć, czy tu na dworze?
Jak miły chłodek! biegę do strumyka
Weź tymczasem na ręce mojego chłopczyka.
Śpij, me złoto! spij, mój synku!

PODRÓŻNY.

Słodki dziecka spoczynku!
Święta Niewinność i święte Zdrowie
Kołyszą zlekka jego wezgłowie.
O, chłopczyku poczęty
Na świętej przeszłości grobie!
Niechaj przeszłości duch święty
Spocznie na tobie.
Kogo duch jój okryje
Skrzydły czarownemi,
Ten z boskiem czuciem na ziemi
Każdego dnia użyje.
O, ziarko lube!

Wschodź i wypływaj
Na wiosny chlubę!
I towarzyszków głowy twym majem okrywaj.
A kiedy się kwiat okruszy,
Niech jak z rodzajnego drzewa
Pełny owoc wypłynie z głębi twojej duszy,
I przed oczyma słońca dojrzewa.

[NIEWIASTA.

Oby życzenie twe spełniły nieba!
Jeszcze śpi mój malenki?
Do wody na zakąskę nié mam nic prócz chleba.

PODRÓŻNY.

Dzięki i za to, dzięki!
Jak tu w koło mnie na całym świecie
Zieloność i kwiecie!

NIEWIASTA.

Mąż mój wkrótce powraca
Do chaty — w polu skończyła się praca;
Mój gościu! zostań do wieczora w chacie,
Wieczierzaj z nami
Wieśniakami.

PODRÓŻNY.

Więc tu mieszkacie?

NIEWIASTA.

Tam na gruzach téj wielkiej połamanéj bramy,
Chatka niedaleka:
Ojciec nieboszczyk z gruzu wymurował,
I nam darował:
Tam mieszkamy.
Wydał mię za mąż za dobrego człeka,
I umarł na naszém ręku.
A, moja duszko! już spaleś dowoli!
Patrz, jak wesół, jak swywoli
A, ty błazenku!

PODRÓŻNY.

O, ty Naturo, wiecznie płodna matko!
Wszyscy żyjący równie tobie mili:
Chcesz aby wszyscy żyli i użyli!
Wszystkich zarówno uposażasz — chatką.
Jaskółka górne osiada pałace,
Do gzymsów gniazdo przyczepia,
Niewie jakie dłóta prace
Zasklepia.
Gaśienica przedziwem obwinęła kwiatki,

I w nich na zimę tuli swoje działki.

A ty człowieku,

Miedzy wspaniałe wylomy

Przeszłego wieku,

Nikczemne domy

Stawisz sobie.

Używasz życia na grobie!

Bywaj mi zdrowa szczęśliwa niewiasto!

NIEWIASTA.

Koniecznie chcecie iść w miasto?

PODRÓŻNY.

Niech łaska Boga

Ciebie i dziecię w zdrowiu i szczęściu zachowa.

Bądź zdrowa.

NIEWIASTA.

Szczęśliwa droga.

PODRÓŻNY.

Tą ścieżką s prawej strony,

Jeśli się nie mylę,

Trafie do miasta?

NIEWIASTA.

Tak jest do Werony.

PODRÓŻNY.

Jak stąd daleko?

NIEWIASTA.

Dwie mile.

PODRÓŻNY.

Bądź zdrowa!
Przyrodzenie! wzywam twój opieki,
Na przeszłości mogile
Zbłąkany pielgrzym daleki.
Ty przed północy powiewem
Prowadź mię w ciche ustronie,
W południe okryj mi skronie
Laurowym drzewem.
A gdy z dziennych trudów końcem,
Wrócę na spoczynek
Do méj chatki zachodniém ozłoconej słońcem,
Niechaj mię powita
Taka piękna kobieta,
I taki na ręku synek!

PRZYPOMNIENIE

Z ALEXANDRA PUSZKINA.

Kiedy dla śmiertelników ucichną dnia gwary,
I noc wpół-przejrzystą szatę
Rosciągając nad głuchą stolicą obszary,
Spuszcza sen trudów zapłatę:

Wtenczas mnie samotnemu, rozmyślań godziny
W ciszy leniwo się wleką:
Wtenczas mnie ukąszenia serdecznej gadziny
Bezczynnemu srożej pieką.

Mary wrą w myśli, którą tęsknota przytłacza,
I trosk oblegają roje;
Wtenczas i Przypomnienie w milczeniu roztacza
Przedemną swe długie zwoje.

Ze wstrętem i przestraczem czytam własne dzieje,
Sam na siebie pomsty wzywam,
I serdecznie żałuję i gorzkie łyzy leję;
Lecz smutnych rysów nie zmywam.



MORLACH W WENECYI

Z SERBSKIEGO.

Gdym ostatniego cekina postradał,
I gdy mię chytra zdradziła niewiasta,
Chodziłem smutny, a Włoch mi powiadał:
„Dymitry! pójdźmy do morskiego miasta,*)
Piękne dziewczęta znajdziem w jego murach,
I grosza wiécć niż kamieni w górach.

Żołnierze w złocie i w jedwabiu chodzą,
I dobrze piją i dobrze się bawią:
Nakarmią ciebie, napoją, nagrodzą,
I bogatego do domu wyprawią.
Wtenczas twa kurtka srebrnym haftem błysnie
Na srebrnym sznurku twój kindżał zawisnie.

Gdy wnidziesz do wsi, kędy się obrócisz,
Do okien będą cisnąć się kobiety,

*) Rzeczpospolita Wenecka zaciągała na żołd swój wielką liczbę góralów Sławian.

A gdy przed oknem staniesz i zanucisz,
Będą ci sypać do czapki bukiety.
Pójdźmy, Dymitry, do okrętu wsiedziem,
Pojedziem w miasto i bogaci będziemy.“

Wierzyłem głupi, rzuciłem ojczyznę,
I góral wszedłem w ten okręt s kamienia,
Tu czuję w chlebie powszednim truciznę,
W powietrzu darmo szukam odetchnienia.
Ni wolnej myśli, ni wolnego ruchu
Przykuty zdycham, jak pies na łańcuchu.

Kiedy dziewczętom rozwodzę swe żale,
Dziewczęta szydzą z mojej obcej mowy:
Tu nawet moi rodacy górale
Przyjęli język i obyczaj nowy.
Jestem jak drzewo przesadzone w lecie,
Słońce je spali, a wicher rozmiecie.

Miło na górach spotkać znajomego,
Wszystko to byli przyjaciele starzy:
Witaj, wołali, synu Alexego!
Tu niespotykam żadnej znaniej twarzy!
Jestem jak mrówka wychowana w lesie,
Gdy ją na środek stawu wiatr zaniesie!

R E N E G A T.

(BALLADA TURECKA.)

Zob. Tom. III. str. 103.

Co się niedawno stało w Jranie
Opowiem światu całemu;
Na kaszemirskim usiadł dywanie
Basza pośrodku haremu.

Pieją Greczynki, pieją Czerkieski,
Płasają branki Kirgisa,
U tych w żrenicach zafir niebieski,
U tamtych cienie Eblisa.

Basza niewidzi, Basza niesłucha,
Turban zawiesił nad okiem:
Drżmie i dymy ciągnąc s cybucha,
Okrył się wonnym obłokiem.

Wtém u wrót szczęścia hałas się wzmaga,
Rosstąpiły się sług rzędy:
Nieznana brankę wiódł Kyzlar-aga
Skłonił się i rzekł: „Efendy!

Którego jasność takiej jest mocy
Między gwiazdami dywanu,
Jak śród brylantów na szatach nocy
Ognisko Aldeboranu.

Racz ku mnie błysnąć, gwiazdo dywanu,
Bom dobrych nowin tłumaczem,
Oto służebny wiatr z Lehistanu
Darzy cię nowym haraczem.

Padiszach niema takiej krzewiny
W sadzie rokoszy w Stambule:
Ona jest rodem z zimnej krainy,
Którą wspominasz tak czule.“

Tu gazę co jęj wdzięki przygasza
Odsłonił, — cały dwór klasnął;*)
Spojrzał raz na nią trzylutny Basza,
Wypuścił cybuch, i zasnął.

Chyli się na bok, turban mu spada,
Biegą przebudzić, — o dziwy!
Usta ssiniące, twarz śmiercią blada,
Basza renegat nieżywy! —

*) Cały dwór klasnął — wyrażenie europejskie; —
w duchu wschodnim należałoby powiedzieć, cały
dwór włożył do ust otwartych milczenia palec
podziwu.

TRZECH BUDRYSÓW.

(BALLADA LITEWSKA.)

Stary Budrys trzech synów, tęgich jak sam
Litwinów

Na dziedziniec przyzywa i rzecze:
„Wyprowadźcie runaki, i narządźcie kulbaki,
A wyostrzcie i groty i miecze.

Bo mówiono mi w Wilnie, że otrąbią niemylnie
Trzy wyprawy na świata trzy strony:
Olgierd ruskie posady, Skirgieł Łachy sąsiady,
A książdz *) Kiejstut napadnie Teutony.

Wyście krzepcy i zdrowi, jedźcie służyć kra-
jowi,

Niech Litewskie prowadzą was Bogi.
Tego roku nie jadę; lecz jadącym dam radę:
Trzej jesteście i macie trzy drogi.

Jeden z waszych biedz musi za Olgierdem ku
Rusi,

*) Po staremu zamiast: książę.

Po nad Jłmen, pod mur Nowogrodu.
Tam sobole ogony i srebrzyste zasłony,
I u kupców tam dziengi jak łodu.
Niech zaciągnie się drugi w księdza Kiejstuta
cugi,

Niechaj tępi Krzyżaki psułaty:
Tam bursztynów jak piasku, sukna cudnego
blasku,
I kapłańskie w brylantach ornaty.

Za Skirgiełłem niech trzeci, po za Niemen
przeleci,

Nędzne znajdzie tam sprzęty domowe:
Ale za to wybierze dobre szable, puklerze,
I jannie stamtąd przywiezie synowę.

Bo nad wszystkich ziem branki, milsze La-
szki kochanki,

Wesolutkie jak młode koteczki:

Lice bielsze od mleka, s czarną rzęsą powieka,

Oczy błyszczą się jak dwie gwiazdeczki.

Stamtąd ja przed półwiekiem, gdym był mło-
dym człowiekiem,

Łaszkę sobie przywiózłem za żonę,

A choć ona już w grobie, jeszcze dotąd ją
sobie

Przypominam, gdy spojrzę w tę stronę. “

Taką dawszy przestrożę, błogostawił na drogę.

Oni wsiedli, broń wzięli, pobiegli.

Idzie jesień i zima, synów niema i niema:

Budrys myślał, że w boju poległi.

Po śnieżystej zamieci, do wsi zbrojny mąż
leci,

A pod burką wielkiego coś chowa.

„Ej to kubel: w tym kubie nowogrodzkie są
rubie?“

— „Nie, mój ojczy, to Laszka synowa.“

Po śnieżystej zamieci, do wsi zbrojny mąż
leci,

A pod burką wielkiego coś chowa.

„Pewnie z Niemiec, mój synu, wiesz kubel
bursztynu?“

— „Nie, mój ojczy, to Laszka synowa.“

Po śnieżystej zamieci, do wsi jedzie mąż trzeci:

Burka pełna, zdobywszy tam wiele.

Lecz nim zdobyć pokazał, stary Budrys już
kazał

Prosić gości na trzecie wesele.

D O D. D.

Moja pieszczotka gdy w wesołej chwili,
Pocznie szczebiotać i kwilić i gruchać,
Tak mile grucha, szczebioce i kwili,
Ze niehcąc słówka żadnego postradać,
Nie śmiem przerywać, nieśmiem odpowiadać,
I tylko chciałbym słuchać, słuchać, słuchać.

Lecz mowy żywość gdy oczki zapali,
I pocznie mocniej jagody różować:
Perłowe ząbki błysną wśród koralí,
Ah! w tenczas śmielój w oczęta poglądam,
Usta pomykam i słuchać nieżądam,
Tylko całować, całować, całować.

Odessa, 1825.

R O Z M O W A.

Kochanko moja! na co nam rozmowa;
Czemu chcąc s tobą uczucia dzielić,
Nie mogę duszy prosto w duszę przelać:
Za cō ją trzeba rozdrabiać na słowa,
Które, nim słuch twój i serce dościgną,
W ustach wietrzeją, na powietrzu stygną.

Kocham, ah! kocham, po sto razy wołam:
A ty się smucisz i zaczynasz gniewać,
Ze ja kochania mojego niezdolam
Dosyć wymówić, wyrazić, wyśpiewać,
I, jak w letargu, niewidzę sposobu
Wydać znak życia bym uniknął grobu.

Strudziłem usta daremném użyciem,
Teraz je s twemi chcę stopić ustami,
I chcę rozmawiać tylko serca biciem,
I westchnieniami i całowaniami.
I tak rozmawiać godziny, dni, lata,
Do końca świata, i po końcu świata.

Odessa. 1825.

D O D. D.

ELEGIA.

Gdybyś ty na dzień jeden była w mojej duszy,
 Na dzień cały? nie — takiej nie życzę katuszy.
 Gdyby godzinę tylko — szczęśliwe stworzenie,
 Poznałabyś natenczas, co to jest cierpienie.
 Myśli me na torturach, w uczuciach mych burza,
 To mi gniew serce miota i czoło zachmurza,
 To mię smutek w ponure zadumanie wtrąca,
 To nagle oczy zaćmi żalu iza gorąca.
 Ty albo od mych gniewów uciekasz ze wstrę-
 tem,
 Albo lękasz się nudy z żalosnym natrętem.

Ty mię nieznasz, namiętność zaćmiła me lice.
 Ale spojrzij w głąb' duszy, tam znajdziesz
 skarbnice
 Czułości, poświęcenia, łagodnej dobroci,
 I wyobraźni która ziemską dolę złoci.
 Dzisiaj ich nie możesz dojrzeć — Wszak i na dnie
 fali,
 Kiedy ją wicher zmiesza, kiedy piorun pali,

Czyż widać krasne konchy, perłowe jagody?
Nim mię osądzisz, czekaj słońca i pogody.
O gdybym zyskał pewność, że jestem kochany:
Gdybym z serca na chwilę wygnał bojaźń
zmiany,

Którą mię straszy nieraz doświadczana zdrada!
O niech będę szczęśliwym, będziesz ze mnie
rada.

Jak duch przez dzielnej wróżki zaklęty wy-
razy,

Żyłbym twoje wypełniać, zgadywać roskazy.
A jeżeliby czasem duma rozdąsana
Kazała poddanemu udać humor pana,
Śmieć się luba, choć duma przyznać się zabrania,
Sługą będę; cóż miałbym do roskazywania?
Abys raczyła chwilą dłużej ze mną bawić,
Podług mej woli suknię i włosy poprawić:
Abys drobnych zatrudnień odbiegła domowych
Słuchać starych oświadczeń i piosenek nowych:
Wszystkobys nie wielkimi dokazała trudy,
Godziną cierpliwości, półgodziną nudy,
Albo chwilką udania, kiedy będę mniemać,
Ze słuchasz rymów moich, ty mogłabyś drze-
mać:

Choć oczy twoje będą co innego znaczyć,

Ja chcę w nich dobro czytać, na lepsze tłumaczyć.

W twe ręce powierzwszy moję przyszłą dołę,
Na twém złożyłbym łonie mój rozum i wolę.

Pamiętki nawet serce głęboko zagrzebie,

Aby nigdy nic nieczuć oddzielnie od ciebie. !

Wtenczasby dziki zapęd, co mną dotąd miota,

Wypadł z duszy jak z łodzi miotanej niecnota,

Który burze sprowadza i bałwany pieni;

Płynęlibyśmy cicho po życia przestrzeni,

Chociażby los groźnemi falami powiewał,

Jak syrenabym nad nie wzbijał się i śpiewał.

S P E T R A R K A.

Chiare, fresche e dolci aque.

O jasne, słodkie, o przeczyste wody,
W których zwierciadlanéj fali
Laura kąpała swą anielską postać.
Drzewko wysmukléj urody,
I ty będziesz święte u mnie.
W twym cieniu lubiła zostać
Nieraz sama zamysłona:
I przesłiczne jéj ramiona
Spoczęły nie raz na twój majowéj kolumnie.

O błonia których brylantowa rosa
Nieraz obwiana jéj lekkimi szaty,
I wy trawki i wy kwiaty,
Ozdobo piersi i włosa,
Ostatni raz dajcie ucha,
Ostatnim żalom cierpiącego ducha.
Jeśli tak chciały wyroki,

I niebios okrutna wola,
Ażebym cierpiał i płakał do zgonu,
Niech przynajmniej moje zwłoki,
Pośród zielonego pola
Zasną, gdy duch uleci ku bramom Syonu.

Z niewielką umrę trwogą,
Choć umieram w lat mych kwiecie,
Jeśli nadzieję uniosę błogą,
Ze duch mój pośród téj błoni,
W miléj i cichéj ustroni
Zostawi łódkę, w której błakał się po świecie.

Może którego poranka,
Piękna, okrutna kochanka
Zabłądzi w znane doliny,
Gdzieśmy szczęśliwe pędzili godziny.
I swe jasne, wdzięczne oko
Zwróci szukając mię wszędzie,
Ujrzy wzgórek pod opoką,
Ah! to mój grobowiec będzie.
I może wtenczas iskierka miłości,
Albo litość ją poruszy,
Westchnie, a to westchnienie za progiem wie-
czności

Odezwie się w mojej duszy.
I nad mogiłą stanie zamysłona,
Oczy jej zaćmi łez mglista zasłona.

Tu niegdyś wietrzyk pośród majowego lasku,
— Chwila ta dla mnie będzie wiekopomna —
Kwiaty na pierś jej strząsał klejnotów poto-
kiem,

A ona w takim blasku
Siedziała skromna,
Jak bóstwo różnobarbnym zakryta obłokiem.
Jedne kwiaty na kolana,
Drugie pomiędzy warkoczów pierścienie,
Sypiąc się błyszczą jak girlanda tkana
W perły i drogie kamienie.
Ten kwiatek do nóg jej pada,
Ten odleciał i smutny chce się w strumień
rzucić,
Inny błądzi w powietrzu i zdaje się nócić
„*Tu miłość włada!*“

Natenczas pełen świętego przestrachu,
Myślałem że z niebios gmachu
Sstępującego dostrzegam anioła.
Ten wzrok, ten uśmiech, ten majestat czoła,
Ten głos wdzięczny, ileż razy:

Uniosły duszę w tak rokoszne błędy,
Ze otoczony rajskimi obrazy
Pytałem sam siebie,
Jak tu przybyłem? i kędy?
Bo mnie się zdało, że już byłem w niebie!

Ostafiewo. 1827.

S E N.

Chociaż zmuszona będziesz mnie porzucić,
Jeżeli serca niezmienisz w kochaniu,
Rzucając nawet niechciej mnie zasmucić,
I rozstając się, nie mów o rozstaniu!

Przed smutném jutrem niech jeszcze z wieczora
Ostatnia spłynie na pieszczotach chwilka:
A kiedy przyjdzie rozstania się pora,
W tenczas trucizny daj mnie kropel kilka.

Do ust twych usta przycisnę: powieki
Zamykać nie chcę, gdy mię śmierć zamroczy:
Niechaj rokosznie usypiam na wieki
Całując lica, patrząc w twoje oczy.

A po dniach wielu, czy po latach wielu,
Kiedy mi każą mogiłę porzucić,
Wspomnisz o twoim sennym przyjacielu,
I sstąpisz z niebios, aby go ocucić.

Znowu mię złożysz na twém łonie białém,
Znowu mię ramie kochane otoczy,
Zbudzę się, myśląc że chwilkę drzemałem,
Całując lica, patrząc w twoje oczy.

Odessa. 1825.

K O N I E C .

ODMIANY

w dawniejszych ogłoszonych poezjach, później przez
Autora poczynione.

- Str. 96. w. 13. popraw: Feniks nowy, już skrzydła roztacza
na niebie,
- - - 16. - Czegoż w tym nowym roku żądać
mam dla siebie?
- 97. - 5. za: niżeli przedtém, czytaj: niżeli pierwej.
- 98. - 8. za: ileż jesteście, czytaj: jakże jesteście.
- 110. - 11. i 12. Na wałach dzikie porasta ziele,
W branie mój wierny pies wyje.
czytaj: Na wałach dzikie porośnie ziele
U wrót pies wierny zawyje.
- - w. 13. Pójdź ty, czytaj wszędzie: Pójdź tu.
- - wiersz ostatni: Jak my, polecł przez wodę.
czytaj: Jak my polecim przez wodę.
- 111. wiersz 5. i następne:
Bo tam mój ojciec i t. d.
czytaj: Bo tam mój stary ojciec zostanie,
Tam matka zostanie droga,
Tam wszyscy moi, prócz ciebie, Panie,
Prócz ciebie tylko — i Boga.
- - w. 9. Ojciec mię tylko pobłogosławił
czytaj: Ojciec spokojnie mię błogosławił.
- - w. 12. Jakże lekliwie nas czeka
czytaj: Z jakąż tęsknotą nas czeka? “
- - w. 15. Gdybym i ja miał serce niewinne
czytaj: Gdybym miał równie serce niewinne
- 112. w. 4. To mi łyzy z oczu wyciska
czytaj: To mi łyzy gorzkie wyciska.
- - w. 15. Bo wiem, iż błysnę poranek,
czytaj: Bo nim zabłysnie poranek,
- - w. 18. Niedbam gdziekolwiek losby i t. d.
czytaj: Nie żal mnie ziemię gdzieś młodość strawił,
Nie straszne podróże wodne:
Żałuję tylko, że nie zostawił
Nic, co by było łyż godne.

Str. 113. w. 1. Teraz po świetle goniąc szerokim
czytaj: Teraz po świetle błędę szerokim
I pędzę życie i t. d.

- - ostatnia wrótkę tak odmień:
Już okręt piersią kraje głębinę,
I zagle na wiatr rozwinął.
Niedban, ku jakim brzegom popłynę;
Bylebym nazad niepłynął.
Gdy mnie twe jasne znudzą kryształę,
Ogromna, modra płaszczyzna,
Powitan lasy, pustynie, skały:

- 121. w. 4. za: I klonów, czytaj: I plonów
- 122. - 4. za: Bój zaczął myśliwy.

czytaj: Wojuje myśliwy.
następująca zaś wrótkę tak odmień:
Czy palnie na smugi,
Czy w górę do chmur:
Tam krwi płyną strugi
Stąd leci grad piór.

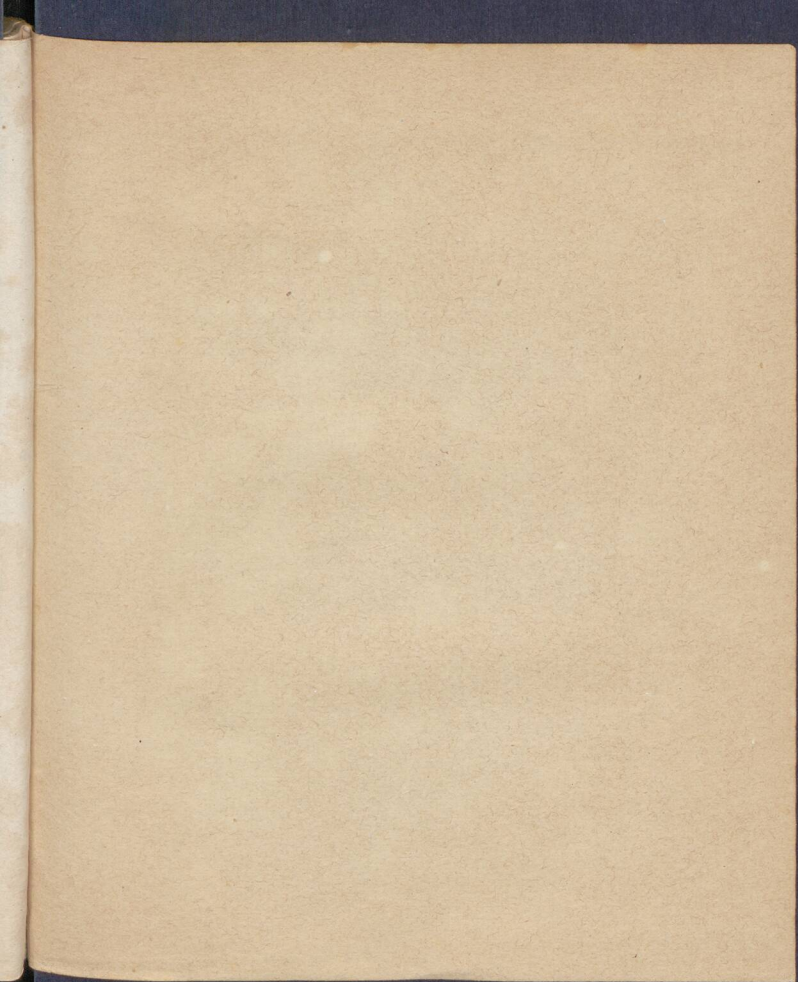
Na téjże stronie w. 11. zamiast: Latawców, czytaj: Lataczów,
w. 16. i 17. odmień jak następuje:

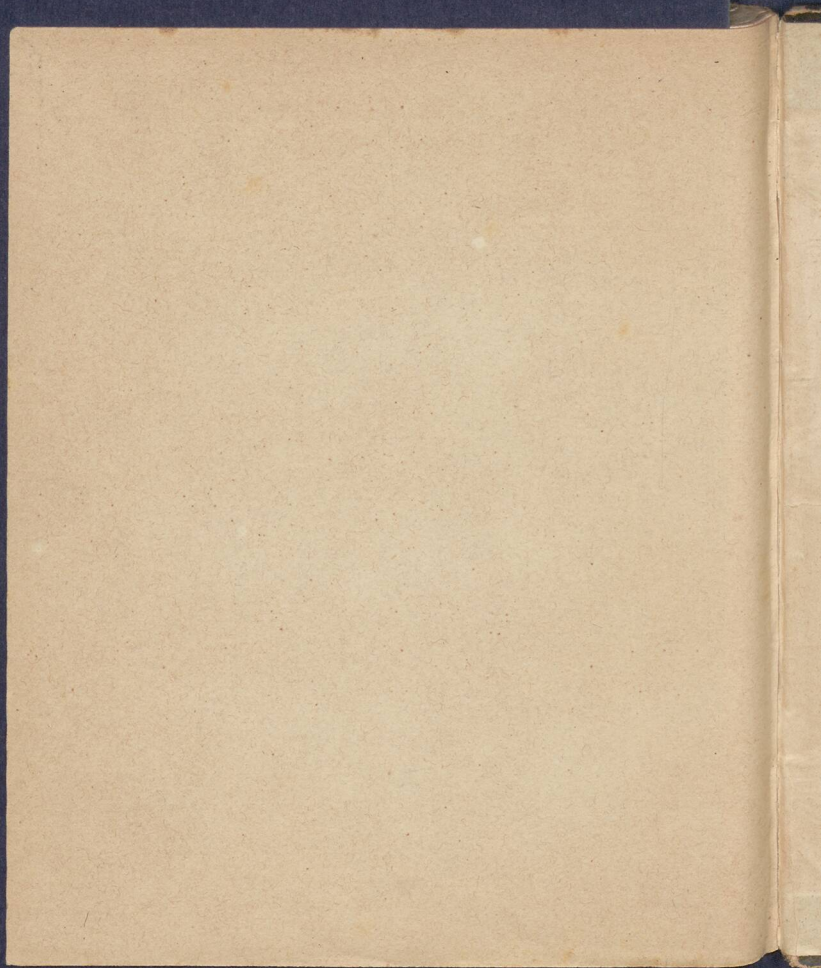
Wystrzelił myśliwy
Król wiatrów i chmur,

Str. 123. wrótką drugą zamiast
Hej skały i t. d.

czytaj:
Hej lasy i niwy
Ozwiejcie się w chór:
Zatrabił myśliwy
Król lasów i gór.







opr

[496]

AP38

(16)

2332,-

BIBLIOTEKA UNIwersYTECKA
W POZNANIU



1728475

NZB